

WYDAWCA
WARSZAWA
W. SOŁTAN

Biblioteka
Uniwersytetu Gdańskiego

CIV 9013

Cena zł 30 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS”

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 28 marca 4 – kwietnia 1948 r.

Nr 13-14 (122-123)

TREŚĆ NUMERU: W. Kętrzyński – Studium o człowieku. B. Piasecki – Odpowiedź. St. Podlewski – „Tajemniczy Kapitan”. A. Zatopiński – Wspomnienie o Włodzimierzu Pietrzaku. W. Olechowska – List do pani Anny. Felieton. J. Walczak – Pomieędzy Polską a Rosją. Przegląd tygodników. Z. Lichniak – Reportaż spod szubienicy. W. Kieszowska – Żywoć Kajetana J. Marcinkowskiego. Tydzień kulturalny – Wędrowki po scenach polskich. Nabyć, czytać, nie czytać?... Czerwone śledzie”. F. Lilpop-Krancowa – Pamięci B. Micińskiego. Film. J. J. Szczepański – Przyczynki do Sprawy Wolfa. Czytelnik uważa że...

Jan Dobraczyński

NASZE BŁĘDY I BOSKI GEST

Przed wielu wiekami — 2000 lat po wyruszeniu Abrahama z ziemi Ur, 2000 lat, mniej więcej przed naszym dniem (data dokładna nie jest i tutaj znana: wchodzi w grę 11 kwiecień 27 roku, 7 kwiecień 30 roku i 3 kwiecień 33 roku) miał miejsce krótki lecz brzemienny w następstwa proces — proces zakończony wyrokiem, który zaważył decydująco na życiu ludzkości. W tym procesie występował Oskarżony, sędzia i oskarżyciele — nie występowali natomiast obrońcy (jeżeli nie liczyć tej, którą tradycja nazywa Klauđią Proculą, a Kościół koptyjski zalicza do grona świętych). Ten brak obrońców jest dla procesu Nauczyciela z Galilei charakterystyczny. Nie bronił Go nikt.

Dlaczego Jezusa nikt nie bronił? Czy ci, którym wyświadczył miłosierdzie, uleczeni z chorób, wyrwani z opętania, zmartwychwstali — nie mieli nic do powiedzenia? Czy ci, których nakarmił cudownie rozmnożonym chlebem, — oniemieli? Czy ci, których porywał słowami, nie zdolni byli wypowiedzieć jednego słowa za Nim?

Nie jest żadną tajemnicą, że ludzkość nie zna wdzięczności, a na swoich dobrodziejów podnosi chętnie rękę. Wyrok musiał zapadnąć, taki, jaki zapadł — ponieważ tylko oskarżyciele mieli usta otwarte. Tylko oni krzykali, a ich krzyk czynił niemiły zgiełk wokół rzymskiego dygnitarza. Chrystus był Człowiekiem, przez którego powstaje krzyk. A krzyk jest rzeczą nieprzyjemną. Nudzi, nuży, drażni. Nie lubimy być drażnieni. Mamy słabe nerwy. Krzyk nas wytrąca z równowagi. Ceniśmy spokój. Chętnie zgadzamy się, by nam przedmiot krzyku zabrano sprzed oczu. Być może przyczyną krzyku była przyczyna ważna, słuszną, sprawiedliwą. Tym niemniej na jej niekorzyść trzeba zapisać, iż wywoływała krzyk. Sprawiedliwość ludzka nie znosi krzyku. Ten, wokół którego powstaje krzyk: „ave!” czy „pereat!” — mniejsza o treść krzyku — naraża się naszej sprawiedliwości. Można by sparafrazować pewne cyniczne powiedzenie: „krzyczcie, krzyczcie — zawsze to kogoś zmęczy!” Świat chciałby być podobny do domu zdrowia: chciałby mieć białe korytarze z napisami: „cisza”, dyskretnie pielęgniarki, lekarzy, którzy na każdą dolegliwość znajdują właściwą pigułkę... Z domu zdrowia usuwa się każdego, kto przynosi ze sobą krzyk. Choćby ten krzyk brzmiał: „gore! pali się!” Pali się? Świat nie lubi być niepokojony. Wszyst-



kiem rozsądne terapie mówią: nic się nie martwicie, wszystko będzie dobrze... a przynajmniej: jakoś to będzie... W każdym razie windy będą chodziły jeszcze ciszej, na ko rytarzach będą leżały jeszcze dokładniej pochłaniające wszelki dźwięk chodniki... Piłat był tylko człowiekiem, kiedy zrozumiał, że aby mieć spokój, trzeba Człowieka, będącego przyczyną krzyku — zabić. To była przecież metoda. Wokół Cezara krzyczano: „Ave Caesar!” — więc Cezara trzeba było zabić. Wokół Brutusa podniósł się szmer uznania: „defensor patriae” — więc i Brutus musiał zniknąć. Prokurator miał dosyć awantur żydowskiego tłumu. Ale Piłat popełnił błąd, gdy wyprowadził więźnia, powiedział do zbiegowiska: „Oto Człowiek! Człowiek? To miał być człowiek — ta Istota okrwawiona, z czerwonymi pręgami od biczów, przecinającymi pierś, z głową przytłoczoną pe-

w balistycie „pole śmierci”. Z tego pola człowiek nie może wyjść żywy. I gdyby Jezus skonał nagle pod ciosami oskarżeń — byłoby to naprawdę rozwiązanie logiczne. Mieliby wówczas rację nie tylko Cels, Strauss, Bauer, Renan oraz prof. H. E. G. Paulus z Heidelbergi, który „wytlumaczył” nauko wo każdy cud Ewangelii; ale i ci wszyscy, którzy przyjmują chrześcijaństwo jako doktrynę, ideę, obóz, partię, światopogląd, ale nie chcą pojąć skandalu chrześcijaństwa, dramatu chrześcijaństwa — krzyża... Nie jest bowiem rzeczą najistotniejszą, że są ludzie, którzy zaprzeczyli nauce Jezusa. W podziemnym świecie nie ma prawdy, która by nie miała przeciwko sobie przeciwprawdy. Ale błędem oskarżycieli — nie do darowania błędem — było, że gdy okrwawiona Postać ukazała się na balkonie Antonii, wcieli także: „Ukrzyżuj dla twarz płynęła kropla za kroplą

Go!” Nawet najcięższe oskarżenie ma swój punkt optymalny. Oskarżycielom nie wystarczało, że zarzucili Oskarżonego gradem swych argumentów. Oni jeszcze zażądali Jego śmierci. Swoją rację chcieli poprzeć wyrokiem. I ten wyrok zapadł. W skwarne kwietniowe południe od zamku Antonia w dół, ku dolinie Tyropeon, potem w górę, ku bramie Efraima, i jeszcze trochę wyżej, na wzgórze Golgota, powędrował orszak wiodący Skazanego.

Aż do tej chwili można mówić o przegranej Galilejczyka. Gdyby świat chciał i umiał potępić Jezusa, ale nie zabijał Go w tak okropny — „crudelissimum teterrimumque supplicium” jak powiada Ciceron — sposób, można by mówić o klęsce. Ale oskarżyciele zapragnęli, aby ta klęska była całkowitą klęską, aby była więcej niż klęską. Pewien naiwny współczesny neopoganin w swej zdumiewającej ignorancji książkę, przegaduje się i przyznaje: „k l e s k a” i śmierć Chrystusa otwiera nowy etap e k s p a n s j i”. Paradoksalne zestawienie! Ekspansja oznacza triumf. Więc klęska stworzyła triumf?!

Tego jednak nie wiedzieli ci wszyscy, którzy szli za pochodem, prowadzącym skazańców, lub stawali by patrzeć na idących. Robiono to pośpiesznie — nikt nie miał czasu: południe dnia przygotowań paschalnych było południem pracowitym. Mieszkańcy Jerozolimy byli równie „bez czasu”, równie „śpieszący się” jak ów kapłan i lewita, którzy minęli na drodze ranego człowieka. Pod tym względem niewiele się zmieniło na naszej planecie. Czas, którym dysponujemy dla drugich, jest zawsze za krótki. Ludzie umierają w pośpiechu i są odprowadzani na cmentarz w pośpiechu. Te 500 metrów viae Dolorosae chętnie przejechałobyśmy samochodem...

Jezus jednak tej drogi nie przejechał, ale ją przeszedł. Krok za krokiem stawał bosc stopy na śliskie i nierówne płyty, pochylony pod ciężarem drzewa, które kazano Mu nieść. Owa sosna była ciężka, zdawała się trzymać korzeniami ziemi. Po to bowiem, by postawić krzyż na Golgocie, trzeba go było przedtem wyrwać stamtąd, gdzie rósł poprzednio — z podwórca rzymskiej fortecy. Drzewa krzyża rosła często na cienistych podwórzach, w mrocznych zakątkach ogrodów. Jezusowi kazano wynieść krzyż na słońce, na górę.

A On go niósł cicho i posłuszenie. Niósł go tak, jak nie niesie

Dm 1591 022

krzyża żaden z nas. Może poprzez zalewający czy krwawy pot uśmiecha się radośnie. Zdawał bowiem sobie sprawę, że w tym rozkazie wyniesienia krzyża na szczyt zawiera się cała niekonsekwencja ludzkiego zła. Można bowiem zaprzeczyć stu prawdom, wypowiedzianym atramentem na papierze. Nie zaprzeczy się Prawdzie dowiedzionej krzyżem i krwią.

My, katolicy, nie mamy powodu wątpić, że Chrystus, który jest Bogiem, mógł, usłyszawszy wypierający się Go okrzyk: „ukrzyżuj!“, — zniknąć — jak zniknął kilkakrotnie sprzed oczu swych wrogów. Gdyby Bóg, obrazując się w tym momencie na świat, odszedł, nie przestałby być Bogiem. Boża Prawda nie zniknęłaby. Zabrakłoby jedynie d r o g i do Niej.

Filozofowie wedle Nietschego, którym katolicyzm wydaje się filozofią słabości, ba, jakąś apoteozą męki i cierpienia, nie zastanawiają się, że to błąd sędziwego i oskarżyciela a nie woła Chrystusa, przyczynił się do utworzenia drogi poprzez Via Dolorosa. Bóg, przed którym człowiek zamyka drzwi, przechodzi poprzez nie. Golgota nie jest górą wysoką, gdy się na nią patrzy z wysokości suchych, spalonych słońcem, wzgórz judejskich. Ale gdy człowiekowi przychodzi iść na Golgotę z głębi gwarantującego bezpieczeństwo schronu — wtedy liczba stopni w górę wydaje się nieskończona...

A potem nastąpiło ukrzyżowanie. My, którzy już mamy dosyć wspomnień Oświęcimia czy Dachau, tym bardziej usunęliśmy z wyobraźni kaźń na górze Golgota. Krzyż, który wisi przed nami, przestał być dla nas symbolem męki. Postać Ukrzyżowanego przybrała, zda się, pozę zycząją — niby Budda siedzący po turecku. Nie robi to już na nas wrażenia, że Chrystus wciąż wisi na krzyżu. Nie kręcimy się niespokojnie na krześle, podnosząc oczy na krzyż. Musi być już coś ponad miarę zwykłą: niby pasje Mehoffera u Franciszkanów w Krakowie, niby krzyż Michalaka w kaplicy uniwersyteckiej KUL'u — aby to nas wyrwało z codziennego nawyku patrzenia obojętnie na mękę. Owszem wiemy, że to zawieszenie całego ciała na dwóch gwóźdźkach wbitych w „szczeplinę Destot" i porażających więź nerwów musiało sprawić ból przerażający. Ze człowiek ukrzyżowany dusił się powoli i okrutnie umierał z uduszenia.

My to wiemy, bośmy o tym przeczytali. Nie staramy się przecież wyobrazić sobie tego bólu. Nawet raz w rok około Wielkiejnocy a nie mamy czasu, by przewędrować minutę za minutą historię Pasji...

Trzeba przecież raz jeszcze powiedzieć, że to wszystko co się dokonało od Antonii do Golgoty było tylko nadmiarem gorliwości i błędem oskarżycieli. Wielki Inkwizytor Dostojewskiego był przezorniejszy: wypuścił swego więźnia. Powiedział Mu: nie wracaj więcej, nie wracaj Ty, który przynosisz wolność — najtragiczniejszy, najniepotrzebniejszy dar. Ale Inkwizytor jest tylko fikcją artystyczną. Prawdziwi oskarżyciele nie potrafili ograniczyć swych pragnień zemsty. I krzyż był dla nich czymś nie dostatecznym. Prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia ukrzyżowania — Ewangelia mówi: „naza-jutrz“, ale dzień u Żydów zaczy-

nał się wieczorem, — poprosili Piłata o straż przy grobie. Prawdopodobnie żołnierze nadeszli w chwili, gdy garstka wiernych odrywała od krzyża stężale, zsiniałe Ciało. Może legioniści krzyżeli: „prędejj! spieszcie się! nuże!“ Nie było czasu na obmycie Zwłok. Wylano olejki na krwawe zwłoki, pośpiesznie zawinięto Zamordowanego w prześcieradła. Grób był blisko — u stóp krzyża. Może kobiety — zwykle w takiej chwili odważniejsze — krzyżowały: „dajcie Go nam przynajmniej opłakać!“ Odepchnięto je brutalnie. „Za trzy dni odjedziecie my...“ — szepnęła ukradkiem któryś litościwszy z żołnierzy. Przystawiono pieczęć. To był ostatni błąd oskarżycieli w niezapomnianym procesie. Po 19 wiekach miał się okazać na płótnie niby ślad palców na szyi uduszonego...

Bóg został odepchnięty i zamordowany. Całe poniżenie, jakie sam sobie zadał — by się urodzić płaczącym Dzieckiem w skalistej, brudnej grocie, by przeżyć lata dziecięce i młodzieńcze w tajemniczym milczeniu, by wreszcie stać się Prokiem Prawdy wśród ludzi, którzy Prawdy nie chcą — nie ugięły gniewu wrogów. Został skazany na śmierć haniebną jak szubienica lub jak fotel elektryczny; śmierć godną zbrodniarza. Zwłoki przywalono kamieniem, na kamieniu postawiono rzymskiego legionistę, strasznego Partom, Germanom i Gallom. Wszystko co umiał zrobić świat Jezusowi współczesny by zlikwidować niepotrzebne człowieka — zostało zrobione.

Tak — żeby zniszczyć prawdę nauki Mistrza z Galilei zrobiono aż za dużo. Chodziło jednak nie tylko o walkę z Prawdą. Fantasma gorliwej Prawdy, Dobra i Piękna nie zniszczy się nigdy całkowicie w czło-wieku. Trzeba aż będzie się uciekać do kompromisów, do namiastek. Chodziło jednak o coś więcej: o zniszczenie Człowieka, który swój ideał realizował w życiu. To jest coś na ludzkie pojęcie przerażającego. Ideały fantastyczne łatwo kłaść przed oczy ludzi. Łatwo dowodzić ludziom, że są lub będą aniołami, że wojny już nigdy nie będzie, że wystarczy samochód za stąpić samolotem, a samolot — pociskiem rakietowym — by nastąpił raj na ziemi. A że ludzie kochają więcej ideały niż chleb powszedni, gotowi są dla nich iść nawet na śmierć. Ale jeśli historia widziała ludzi umierających dla najnawiejszych ideałów, historia nie widziała jeszcze zrealizowanego ideału. Nie było jeszcze ideału, który by się ostał próbie życia. Poza tym, jednym jedynym. Poza ideałem życia Jezusa.

Chrystus nie tylko powiedział jak kim ma być człowiek. Chrystus pokazał jakim ma być człowiek. W tym sensie chrześcijaństwo stało się rewolucją nieskończoną, wieczną. Wielkie idee mogą wstrząsnąć światem. Ale chrześcijaństwo jest fermentem, który w świecie żyje, działa i wstrząsa nim nieustannie. Dla zaślepionych doktrynerów ideał Chrystusa jest ideałem łatwym. Ale to tylko łatwo powiedzieć. Czyż można mówić o łatwości tam, gdzie wielki wzór powstaje wśród prześladowań ze wszystkich stron? Dosłownie ze wszystkich. Św. Piotr z Alkantary powiedział, że jednym z największych cierpień, jakie mogą być na ziemi, jest przeciwieństwo od ludzi cnotliwych. O Chry-

stusie nie tylko obcy nie chcieli wiedzieć ale i „swoi Go nie przyjęli“.

Po ludzku rzecz biorąc, odrzucony Mistrz powinien był odejść, otrząsnąć pył z sandałów. Tak robili wszyscy niedocenieni reformatorzy świata. Ale Chrystus nie obrzucił się na świat, w którym najłepszy był tylko lękliviymi słuchaczami Jego słów. Przebacząc także swoim katom, przebaczył także trwożliwym wyznawcom. Mógł ich pozostawić tylko ze słowami. Wiedział jednak — On, którego mu nic co ludzkie nie jest tajne — że to ludziom nie wystarczy. Człowiek potrzebuje pomocy Istoty żywej. Więc na błędy ludzkiej słabości, która nie chciała patrzeć na okrwawione „ecce Homo“ nie mogła się oprzeć żądaniu kaźni, nie wahała się przystawić pieczęć do kamienia zamykającego grób — odpowiedział gestem Bożym. Zmartwychwstał.

Świat chrześcijański po dwóch tysiącach lat wydaje się, że nie uświadamia sobie czym jest gest Zmartwychwstania. Ten cud stawia my na jednej płaszczyźnie z cudem Narodzenia, Przemienienia, Wniebowstąpienia. Tymczasem o czystości wszystkich tamtych cudów znajduje potwierdzenie i uzasadnienie w Zmartwychwstaniu. Jezus „objawił się Synem Bożym w mocy... przez powstanie z martwych“ (Rom. 1,4) „Jeśli że Chrystus nie zmartwychwstał, tedy próżne jest opowiadanie nasze, próżna też i wiara wasza... Jeśli w tym tylko życiu mamy nadzieję w Chrystusie, najbiedniejszym z ludzi jesteście my!“ (I Kor. 15,14 — 19). Prawda, że choćby Chrystus nie zmartwychwstał nie przestałby być Bogiem. Chrystus mógł przecież nie zmartwychwstać. Mógł odejść od świata, który od Niego odszedł. Pozostałby wzorem. Ale nawet taki wzór byłby tylko wzorem. Chrystus wrócił na świat z miłości, by być siłą ludzi, którzy Weń uwierzyli i którzy zapragnęli iść Jego drogą...

Błąd Adama dał w ostatecznym wyniku człowiekowi więcej niż czło-wiek miał przed grzechem. Dłatego to Kościół śpiewa: „O, felix culpa!“ Błędy ludzi, którzy w zaciętrzewieniu wymogli na sędzi bez charakteru straszliwy wyrok — i tych wszystkich, którzy się na ten wyrok zgodzili — dały w wyniku — Zmartwychwstanie. Jest to zawiła tajemnica miłosierdzia, które daje więcej — kosztami ułomków — niż dar pierwszy. Zdawać by się mogło: im brutalniej miłość Bożą odrzucamy, tym ona łaskawsza i gorętsza ku nam wraca.

O Zmartwychwstaniu można mówić z zachwytem, z radością, z podziwem. Ale wydaje mi się, że trzeba o nim mówić także — a może i przede wszystkim — z wdzięcznością. Ten, którego przybiliśmy do krzyża, nie wyparł się nas. Nie pozostawił nas tylko z surową Prawdą Bożych słów. Wrócił do nas sam. Chce do końca przeżyć z nami Swoje Golgoty i płacić za nie porankami Zmartwychwstania. Jest obok nas. „Podnieś kamień — mówi stara agrafa — a Mnie znajdziesz, zasnij drzewo — i tam Ja jestem“. W dniu, w którym jeden z nas zrozumie, że to przez niego umęczony został Chrystus, poczuje skurcz wzruszenia na myśl, że to dla niego także — by mógł łatwiej wierzyć — Jezus zmartwychwstał...
Jan Dobraczyński

Wojciech Kętrzyński

STUDIUM

Parę miesięcy temu ukazał się na półkach księgarskich gruby zółty tom — „Dzieje Pawła z Tarsu“, pióra jednego z najwybitniejszych bibliotów ks. dr. Eugeniusza Dąbrowskiego. Być może, że niejedyn czytelnik przejdzie obok tej książki obojętnie, zniechęcony popularnym stylem większości życiorysów świętych. Pomyli się, gdyż znajdzie nie popularne rozważania, treść nawet nie dewocyjną, lecz z rozwartych kart tej książki wyłoni się wyzarywany przed jego oczyma jak w baśni świat antyczny, świat z przed dwóch tysięcy lat, świat rzymskiego imperium, zakurzonych dróg Palestyny, Arabii, Lykaonii czy Cypru, ciasnych, dusznych, krzykliwych uliczek Jerozolimy czy Damaszku, dostojnych Aten, czy groźnego Rzymu. Świat rzymskich urzędników, żywiołowo pod bezpośrednim jeszcze chrześcijaństwa rozwijającego się żywiołowo pod bezpośrednim jeszcze wrażeniem Wielkiego Cudu narodzin, życia i męki Syna Człowieczego.

Swym wielkim talentem narracyjnym i zadziwiająco erudycją naukową wydobyl autor ze zmuszających już źródeł historycznych wizję tak plastyczną i wielobarwną, jakby przemawiał o wydarzeniach nieledwie ostatniej epoki. A przecież dzieje św. Pawła przypadają na sam początek przełomu Starego i Nowego Testamentu, na przełom dwóch światów — na koniec mitycznej nieomal starożytności i genezę współczesności.

Paweł z Tarsu był już człowiekiem współczesnym.

Nie jest bynajmniej moim zamiarem pisanie recenzji z dzieła ks. Dąbrowskiego. W ciągu ostatnich paru miesięcy przewinęło się ich już zbyt wiele. Najwybitniejsi specjaliści zabierali głos, by chwalić, krytykować czy roztrząsać. Obok mądrych i głębokich uwag O. Wierusz-Kowalskiego, znajdujemy erudycyjną i ściśle naukową krytykę p. Jastrzębiec-Kozłowskiego, czy też wizję literacką Jana Dobraczyńskiego i wiele innych.

Glossy są jednakowo bogate, jak i dzieło.

Nie umiałbym zresztą napisać recenzji. Studium starożytności jest dziś tak odrębną i zamkniętą w sobie dziedziną nauk humanistycznych, że nie wolno profanowi zabierać o nim głosu. Zagubiły się w jego arkanach jak w labiryncie Dedała.

Tylko na marginesie chciałbym podkreślić, że tak frapujące osiągnięcie jak odtworzenie z daleko idącymi szczegółami sylwetki i działalności człowieka, który żył wieków temu blisko dwadzieścia, z którego pracy nie pozostały żadne inne bezpośrednie dokumenty poza Listami Apostolskimi — może być dziełem tylko pełnej wirtuozyj w zastosowaniu i wykorzystaniu wszystkich nauk pomocniczych jakimi może się posługiwać studium starożytności.

Tu więc oparciem w dedukcjach autora o Pawle z Tarsu są studia wykopaliskowe, dowodzące na przykład istnienia w danej miejscowości synagogi, wokół której skupiała się gmina żydowska, ówdzie ułamek muru z napisem, wskazującym na istnienie wyrobnictwa lub handlu purpurą, czy też płótnem namiotowym, co mogło dawać Pawłowi z Tarsu oparcie materialne i stosunki, gdyż sam był w tej dziedzinie fachowcem.

W innym wypadku to znajomość prawa, obyczajów, czy wręcz zna-

jomość drobnych zakulisowych gier ówczesnych dygnitarzy pozwala na wytlómaczenie decydujących wydarzeń w życiu prześladowanego organizatora chrześcijaństwa.

Kiedy indziej znów — znajomość ówczesnych metod nawigacyjnych pozwala na drobiazgowo odtworzenie szlaków podróży Apostoła Narodów.

Wreszcie systematyczna i drobiazgowo krytyka Listów Apostolskich pozwala na wydobycie na światło dzienne najsubtelniejszych odcieni zachowanej prawdy.

Kreśląc historię Pawła z Tarsu miał Autor przed sobą dwie drogi do wyboru. Mógł nadać swej pracy zasadnicze cechy hagiograficzne, zając się przede wszystkim badaniem i wypuklaniem charyzmatów duszy Wielkiego Apostoła, mógł też, nie zaniedbując wizerunku jego wewnętrznych cech świętego, zając się także człowiekiem i odtworzyć sylwetkę działacza obok sylwetki świętego. Wybrał drugą drogę i wybrał słusznie. O świętości Pawła z Tarsu już nie trzeba kruszyć kopii. Jest ona dostatecznie udowodniona i znana. Trzeba natomiast, zwłaszcza w czasach obecnych przedstawiać oczom ludzkim obraz człowieka wrośniętego w życie, mocującego się z wszelkimi przeciwnościami, na jakie napotyka zawsze ludzkość, a nie abstrakcyjną doskonałość, trudną do zrozumienia, jeszcze trudniejszą do naśladowania.

Żyjemy w epoce, w której szczególnie mocno odczuwa się brak skonkretyzowanego ideału humanistycznego. W szczególności na odcinku katolickim zaznacza się wyraźny brak jasno zarysowanego typu człowieka współczesnego, który by się stał powszechnym wzorem wychowawczym, bodźcem dla wewnętrznej pracy nad własnym charakterem, zwłaszcza wśród młodzieży. Wszystkie rozmowy, tak często odbywane w kołach młodzieży katolickiej, czy szkolnej, czy akademickiej, wskazują na to wyraźnie, że poszczególne cnoty chrześcijańskie znane są i bliskie, istnieje jednak bardzo często niepokonalna trudność zsynchronizowania ich w sylwetkę współczesnego człowieka. Tak nakreślony ideał „wisi w powietrzu“, łatwiej zraza do siebie niż zachęca, a przede wszystkim nie budzi tej żądzy natychmiastowego wprowadzenia w czyn, która stanowi o powodzeniu akcji wychowawczej.

Potrzeba zaś akcji wychowawczej daje się odczuć coraz silniej. Znajdujemy się bowiem w pełni okresu wielkiego historycznego przesilenia. Wchodzimy w epokę, której formy konkretne dopiero tworzyć się będą wśród walk, cierpień i zwątpień. Stare wzory brzmią dziś fałszywie i pusto, romantyczne czy realistyczne ideały postawy życiowej tchną frazesem i banałem. Ani bohaterski Bayard, czy polski Podbięta, rycerz bez skazy i zmayı, ani surowy i zamknięty w sobie pustelnik, ani lekkomyślny, lecz odważny d'Artagnan, ani mesjanistyczne cierpienie za miliony, ani judymowskie cierpienie dla idei, ani nawet Conradowska „wierność samemu sobie“ nie jest już dziś żywym hasłem wychowawczym.

Przebrzmiał, nawet niezauważony przez wielu ideał „człowieka pracy“. Rzucony szerze i prawdziwie w okresie, gdy istotnie praca traktowana była za hańbę, lub najwyżej za ostateczną konieczność, a nierobstwo i gnuśność za jedynie godną postawę „szanującego“ się człowieka, zbladł, gdy przemiany społeczne zmiażdżyły różnice standardu życia-

Towarzystwo Przyjaciół K. U. L.
to trwały czyn katolików
Czy jesteś już jego uczestnikiem?

Lublin, al. Raclawickie 14 tel. 23-94 Konto P. K. O. II-153 w Lublinie

O CZŁOWIEKU

wego, a typ „burżuazyjnego nieroba” pozostał poza marginesem współczesnego życia.

Jest niewątpliwie coś z nadchodzącej epoki we franciszkańskiej wizji „mocnego dobra” Ojca Kolbego, czy nawet Wielkiego Mahatmy, jest coś ze stoickiego „nie to” Wołodyjowskiego spod Kamieńca, lecz są to tylko fragmenty, luźno uchwycone szczytki wielkiej prawdy o nowym człowieku.

To nie wystarcza. Potrzeba pełniejszej syntezy, a przede wszystkim potrzeba konkretniejszego obrazu, sylwetki żywej, mniej literackiej a bardziej prawdziwej, mniej koturnowej, o mocniejszych, bardziej kontrastowo zaznaczonych rysach.

Czytając dzieje Apostoła Narodów wyłania się nam właśnie sylwetka współczesnego człowieka, którego możemy swobodnie ustawić gdziekolwiek w dzisiejszym życiu, odjąwszy rekwizyty epoki — sandały, tunikę czy „barba philosophorum”. Będzie on nie mniej realny i życiowy niż każdy z nas, a przy tym tak wielki i tak święty jak ówczesni uczniowie Chrystusa.

Życie Pawła z Tarsu poprzez błędy, nawrócenie, walkę o byt i walkę o idee, nie było niczym innym, niż tym być może i być powinno życie najbardziej nowoczesnego człowieka, wierzącego i kochającego wyznawaną ideę.

„Bo jestem pewien, wyznaje w liście do Rzymian, że ani śmierć, ani potęgi, ani moce, ani rzeczy teraźniejsze ani przyszłe, ani siła, ani co wysokie, ani co głębokie, ani żadne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej.”

Egocentryzm jest rakiem moralnym toczącym duszę współczesnego człowieka. W epoce narodowych kaktizmów i ciężkich doświadczeń osobistych rodzi się przemożna chęć zamknięcia się w kręgu spraw najbliższych i najprostszych, przyjmowania postawy pełnej wyczekiwania i zobojętnienia. Gdzie jest w takim wypadku miejsce na ukochanie idei, na żar wewnętrzny, zdolny do przetwarzania rzeczywistości. Toteż dziś poza nielicznymi wyjątkami aktywna postawa ideowa jest najwyższą „strojem od święta”, które się ubiera na specjalne okoliczności, by zmanifestować to, co najwygodniejsze, to co nas najmniej kosztuje moralnie czy fizycznie. Tej postawie musi współczesny ideał katolicki przeciwstawić człowieka gorącego, potrafiącego kochać fanatycznie i wyciągać wszelkie konsekwencje wynikające ze służby w sprawie idei.

Istnieje w życiu Pawła z Tarsu jedna scena, którą ku rozwadze środowiskom katolickim warto podkreślić. Rzuca ona charakterystyczne światło na ówczesny wysoki poziom moralny wewnętrznych stosunków, na poczucie odpowiedzialności, jakie zachowało pierwotnych chrześcijan wolnych od hipokryzji i przesądów.

Od samego początku ścierały się wśród Apostołów dwie orientacje, każda w odmienny sposób interpretująca charakter pracy apostołskiej. Orientacja judaistyczna widziała w chrześcijaństwie tylko nową, poprawioną wiarę żydowską, obejmującą swoim zastęgiem tylko Naród Wybrany. Orientacja uniwersalistyczna, której głównym rzecznikiem był Paweł, żądała rozciągnięcia pracy misyjnej także i na pogan, domagała się przeto przejścia do porządku dziennego nad tymi przepisami mozaizmu, które uniemożliwiały współżycie w jednej społeczności chrześcijan żydowskiego i pogańskiego pochodzenia. Na tle tego sporu zwołany został w

roku 49 t. zw. Sobór jerozolimski, który po dłuższych dyskusjach powziął uchwałę potwierdzającą generalnie Pawłową postawę uniwersalistyczną, uchylając jednocześnie sprzeczne z nią przepisy mozaistyczne.

Było to więc zwycięstwo myśli postępowej nad konserwatywno-tradycyjną w gronie apostołskim, używając dzisiejszego języka.

Jednakże w krótkim czasie po tym, głowa Kościoła i niezaprzecalnie największy autorytet moralny wśród Apostołów — Piotr, w czasie swej wizyty w Antiochii, czy to przez niedopatrzanie, czy to z namowy orientacji konserwatywnej, sprzeniewierzył się uchwałom soboru, wyróżniając Żydów, a stroniąc się od chrześcijan pogańskiego pochodzenia.

„Sytuację w lot ocenił Paweł i postanowił działać niezwłocznie. W oportuniźmie Piotra dopatruje

się zarzewia rozłamu, na pełnym zebraniu Kościoła występuje przeciw niemu z wyrzutem, przypominając mu jego własne słowa na soborze jerozolimskim o usprawiedliwieniu przez wiarę w Chrystusa. Szczególnie nie mile musiał Pawła dotknąć fakt, że nawet towarzyszył jego podróży, Barnaba, nie wyczuł niebezpieczeństw nastrojów i poszedł za Piotrem. Tak wielką była jednak powaga Piotra w Kościele, że postępowanie jego z konieczności stawało się miarą dla innych.

I dlatego wystąpienie Pawła jest tak gwałtowne i pełne oburzenia. Przeciwnikom swym nie szczędzi dosadnej krytyki”.

Łatwo sobie dziś wyobrazić, jak niewdzięczna i trudna była rola Pawła. Przemawiał w duchu poglądów niewątpliwie zwalczanych przez większość Żydów, przemawiał przeciw autorytetowi Głowy Kościoła.

W przekonaniu jednak o słuszności i powadze sprawy odważył się na krok, który dziś zakwalifikowany byłby przez wielu, jako bunt i przyczyna ogólnego zgorznięcia.

Znamienniejszym jest jeszcze fakt, że zgromiony Piotr uznał słuszność krytyki wykazując niemniej piękny charakter i niemniejsze umiłowanie sprawy, której służył niż ten, który się zdobył na protest.

Jeśli się tak długo zatrzymałem na tej scenie, to przede wszystkim dlatego, by podkreślić, że walka o własne poglądy jest bodaj trudniejsza gdy się toczy we własnym gronie, niż ta którą się toczy z przeciwnikami ideowymi. Na tym odcinku trzeba właśnie umieć się wykaazać najmocniejszym charakterem. Prawda o konieczności zmagania się o właściwą drogę wewnątrz obozu katolickiego jest dziś powszechnie zapoznawana. Pycha tych działa-

czy, którzy nie pozwalają się krytykować i małość tych, co nie mają odwagi moralnej wystąpić z protestem idą w prostej linii z konsekwencji faktu, iż ideowość stała się letnią. Dlatego z całą mocą trzeba przypominać, że współczesny katolik musi być przede wszystkim człowiekiem moralnie odważnym.

Obok poczucia odpowiedzialności moralnej istnieje równoległe poczucie odpowiedzialności fizycznej. Jest nim, zwłaszcza dla działacza społecznego poczucie, iż powołanie jego nie zwalnia od obowiązku codziennej pracy. Nieszczęściem każdej pracy publicznej jest typ „zawodowego społecznika”, „zawodowego polityka”, czy wręcz „zawodowego ideowca”, to znaczy taki typ człowieka, który uważa, iż działalność ideowa zwalnia od wszelkich obowiązków materialnych, przeciwnie, pociąga za sobą przywilej utrzymywania się, i to w dobrych warunkach, kosztem społeczeństwa. Dziś

Bolesław Piasecki

ODPOWIEDŹ (VI)

Każdy człowiek musi wykonywać pewną ilość pracy, aby móc żyć. Niezbędność zaspakajania potrzeb nadaje pracy charakter konieczny. Przyczyny te sprawiają, że praca w przeżyciu człowieka nabiera cech wymuszonego wysiłku, nakazanego przewycięzania oporu. Czynnikiem zmuszającym do pracy jest coś nadrzędnego w stosunku do człowieka — struktura świata. Praca jest przymusowym daniem z siebie wysiłku, podejmowanym w celu otrzymania efektu umożliwiającego zaspokojenie potrzeb życiowych. Praca jest konieczną samoeksploatacją człowieka.

Lecz czym jest twórczość?

W przeżyciu tworzenia jest coś koniecznego. Człowiek musi dokonać dzieła stanowiącego przedmiot jego twórczości. Z musiem wewnętrznym twórcy walczy słabość jego woli, opór materii, niedostateczna wiedza. Stąd powstają zmagania wewnętrzne w psychice człowieka tworzącego. Konieczność dania w razach przeżywaną prawdę, dobru, pięknu, zciera się z dowolnością okoliczności zewnętrznych i wewnętrznych danej jednostki. I rzecz charakterystyczna, jeśli w tej walce zwycięży konieczność nad dowolnością, wtedy powstaje dzieło oraz istotne dla przeżycia twórczości poczucie ukojenia.

Rys konieczności jest zatem wspólny dla pracy i twórczości. Konieczność ta jednak przy pracy rodzi poczucie przymusu, a przy twórczości wyzwolenia w ukojeniu. Ustaliśmy podstawę tej różnicy. Praca jest wynikiem konieczności zewnętrznej. Twórczość jest wynikiem konieczności wewnętrznej. Przymus pracy płynie spoza woli człowieka, jest konsekwencją struktury świata i człowieka.

Cóż to jest jednak wewnętrzna konieczność tworzenia? Płyne ona z przeżycia oczywistości istnienia prawdy, dobra czy piękna. Człowiek przeżywa wewnętrznie oczywistość danego zjawiska, gdy kontaktuje się z nim dostatecznie, aby stwierdzić, że zjawisko to absorbuje w pełni jego probierze wartości.

Wtedy zjawia się uczucie zachwytu i ulgi, jakie wywołuje odnalezienie rzeczy niezbędnych i bardzo pożądaných.

Praca daje przeżycie męczącego przymusu, twórczość przeżycie wyzwolenia i ukojenia. Wynika to stąd, że praca jest wysiłkiem przede wszystkim jednokierunkowym obroconym na davanje z siebie. W pracy człowiek używa siebie dla zaspokojenia jakiejś potrzeby, która została mu narzucona. Nie ma tu stosunku służby, jest niewolnictwo. Wszelkie zaś davanje z siebie, którego człowiek wewnętrznie nie zaakceptuje od razu lub później jest traceniem.

Twórczość natomiast jest wysiłkiem harmonijnym, dwukierunkowym, obroconym na davanje i bra nie. Dlatego to, mimo, że twórczość da się pomyśleć tylko jako rezultat duchowego wysiłku, pracę zaś może człowiek tak dalece zauto matyzować, że osobowość jego jest przy niej prawie nieobecna — dlatego twórczość daje ukojenie, praca zaś umęczenie. Należy to podkreślić, że tak często występujące oderwanie pracy i twórczości od przeżycia człowieka jest zdecydowaną jednostronnością. Jednostronność ta sprawiła, że za pracę uważa się każde naśladownictwo działania już przez kogoś przedtem wykonanego, za twórczość zaś odkrycie i ukazanie w jakiegokolwiek formie elementów nowych, mających znaczenie dla zespołów ludzkich, czy dla całej ludzkości, wiecznie poszukującej drogi. Oczywiście, że istnieje twórczość ważna tylko dla jednego człowieka, a istnieje też tworzenie ważne dla narodu, ludzkości czy całych epok. Tym niemniej nie należy się ludzi. Przed każdym człowiekiem stoi wybór — tworzyć czy tylko pracować. Każdy bowiem człowiek może albo tylko zadośćuczynić konieczności davanja z siebie dla zaspakajania zewnętrznie narzuconych potrzeb i wtedy spędzi życie na mechanicznej pracy — każdy też może zdobyć się nie tylko na wysiłek, zaspakajania przymusowych konieczności, ale wydobyć z siebie na swoją skalę mus wewnętrzną poszukiwania źródła, z którego będzie czerpał. Źródłem tym dla człowieka jest każdy jego krok ku głębszemu przeżyciu pewności, służby, wyzwolenia

Struktura każdego „ja” jest indywidualna i niepowtarzalna. Stąd w pierwszym rzędzie twórczość a następnie praca każdego człowieka jest inna. Stąd istnieje przesuwalność granicy między twórczością a pracą, przesuwalność, która dokonuje się wewnątrz psychicznej aktywności danej jednostki. Praca będzie stawać się twórczością, jeśli wywołująca ją konieczność zmieni się w swój charakter przymusu zewnętrznego na wewnętrzny. I na odwrót. Twórczość stanie się pracą, gdy wynikać będzie z przymusu zewnętrznego, a nie z wewnętrznej konieczności spowodowanej porażeniem i oczywistością pewności, służby czy wyzwolenia. Ważne jest spostrzec, że człowiek często wykonyuje pracę w dążeniu do osiągnięcia jakiegoś efektu, z tym jednak, że efekt ten ma być środkiem do realizacji jakiegoś celu. Inaczej mówiąc, szereg ludzi spełnia dany rodzaj pracy, aby osiągnąć możliwość wykonywania innej pracy bardziej dla siebie pożądaną. Jeśli w tym łańcuchu prac ostatecznym ogniwem jest twórczość, nawet najbardziej codzienna, przymusu dawać wysiłki nabierają charakteru dodatniego, gdyż stanowią zbliżenie się do ukojenia przez twórczość. Krańcowo rzecz biorąc twórczością może być zamiatanie ulicy, a mechaniczną pracą koncertowanie.

Człowiek może zająć w życiu postawę twórczą, a może też całe życie przepracować tylko. Jest to ważna decyzja jednostki. Praca człowieka zużywa. Twórczość zużywa i regeneruje. Jeśli tak dużo spotykamy ludzi na pół umarłych, którzy zamiast rozwijać się wiedznią, to dzieje się dla tego, że ludzie ci ulegają zewnętrznemu przymusowi pracy, a nie wewnętrznej konieczności służenia przez twórczość.

Zarówno praca jak i przede wszystkim twórczość jest dążeniem do zaspokojenia potrzeby czy też do osiągnięcia celu. Wysiłek, który wkładamy w nasze działanie jest czyniony dla uzyskania jakiegoś efektu. Na osiągnięciu tego efektu może człowiekowi bardzo zależy. Jest rzeczą doświadczenia, że działanie nasze powoduje często osiągnięcie zupełnie innych skutków niż tych, które były zamierzone.

Powstaje wtedy uczucie goryczy wynikające z dysproporcji intencji, wysiłku i skutku.

Możliwość rozczarowania płynąca z braków dzieła musi być traktowana przez człowieka jako coś niezalamującego. Przed brakami dzieła własnej twórczości, czy przed brakami skutków własnej pracy należy się ubezpieczyć, ale trzeba założyć, że w pewnym stopniu braki te wystąpią zawsze. Działanie bowiem człowieka odbywa się w rzeczywistości. Rzeczywistość nie jest jednakże pojęciem prostym. Po pierwsze rzeczywistość sama w sobie, rzeczywistość bodźców przeżyć ludzkich w pełni swojej jest niepoznawalna w ogóle. Tylko bowiem twórca może znać swoje dzieło, a człowiek rzeczywistości bodźców swoich przeżyć nie stworzył. Po wtóre rzeczywistość obiektywna jest elastyczna w przeżyciach danego człowieka i zależy od jego poziomu. Często zaś człowiek podejmuje działanie przed osiągnięciem poziomu dostatecznego do jego wykonania. Często też dzieje się inaczej, że człowiek, podejmując działanie, posiada wystarczające dla przeprowadzenia go moźliwości — natomiast w czasie samej akcji absorbuje się tylko działaniem, a nie zachowaniem i rozwojem własnego poziomu przez co następuje deklasacja człowieka w stosunku do powziętego zamiaru. Wynik wtedy musi być niedostateczny. Na działanie człowieka wreszcie ma wpływ jego rzeczywistość subiektywna. Świat zaś fantazji może być albo światem dalszego poszukiwania prawdy, albo też światem buntu. Człowiek zbuntowany w swej rzeczywistości subiektywnej, działając w rzeczywistości obiektywnej ze zrozumiałych powodów traci precyzję, zmniejsza zasięg skuteczności własnej akcji.

Nawet jednak wtedy, gdy człowiek na najwyższym dla niego poziomie przeżyje rzeczywistość obiektywną, nawet wtedy, gdy w rzeczywistości subiektywnej uczyni świat wizji przedłużającej możliwości zbliżania się do rzeczywistości w samej jej istocie — nawet wtedy między dziełem a zamiarem musi pozostać odchylenie wynikające z faktu, że jesteśmy tylko w drodze do prawdziwej rzeczywistości a nigdy u samej mety tej drogi.

Bolesław Piasecki

zdejemy sobie już wszyscy dobrze sprawę z tego, że praca jest nie tylko obowiązkim społecznym, lecz jest kardynalnym warunkiem utrzymania wewnętrznej równowagi moralnej. Oddanie się jakiegokolwiek pracy społecznej, odrywając się całkowicie od osobistych trosk życia codziennego, poza specyficznymi warunkami zakonnymi, prowadzi zawsze do zatracenia kontaktu z rzeczywistością społeczną. Człowiek współczesny nie może pod żadnym pozorem stać się pasywnym w wspaniałym społeczeństwie.

Jakże charakterystyczne światło pod tym względem rzuca na postać Pawła drobna wzmianka, że w cza-

nie swego pobytu misyjnego w Koryncie wraz z dwoma nawróconymi świeżo chrześcijanami Paweł zajmuje się wyrobieniem namiotów, czego nauczył się jeszcze w Tarsie. Tą drogą Apostoł zarabiał na swe utrzymanie.

„Uczył własnym przykładem: pokazywał swe ręce zgrubiałe od pracy. Nabył prawa mówić: Cóż to jest głód? Cóż to są różgi? Czymże są niebezpieczeństwa dróg i mórz? Przewyciężyłem je wszystkie za łaską Bożą”.

Paweł z Tarsu, człowiek niezłomny w niepowodzeniach, których doznał wiele na swej drodze misyjnej. Ten człowiek dumny i hardy, który

przed prześladowcami musiał uciekać z Damaszku, z Jerozolimy, z Tessalonik, którego gawiedź zakrzyczała w Atenach, wielokrotnie bity i więziony, lżony i wyszydzany.

Człowiek realny, którego dar rozkazywania, dar organizowania i wychowywania stawiał na równi z najwybitniejszymi mężami stanu, wiedziami i pedagogami współczesnymi, który sam jeden przemierzył, zorganizował i potrafił utrzymać przy życiu chrześcijaństwo od Palestyny aż po Hiszpanię.

A jednocześnie mistyk, głęboki myśliciel, filozof, pisarz, którego dzieła są aż po dziś dzień natchnieniem nie tylko dla teologów, lecz dla

wszystkich, co pragną na sprawy ludzkie patrzeć oczyma katolika.

Pełną charakterystykę twórczości Pawła z Tarsu dają dwa zdania wyjęte z jego listów do Koryntian:

„...Wolę powiedzieć pięć słów rozumem swoim, abym i innych nauczył, niż słów dziesięć tysięcy językiem niezrozumiałym” (I Kor. 14, 18—19), ale na innym miejscu przypomina stanowczo:

„...Królestwo Boże nie polega na słowach, ale na czynach” (I Kor. 4, 20).

Na zakręcie dziejów ludzkości stoi człowiek. Nie ustroje, nie prawa, nie zasady ekonomii budować będą nową epokę, lepszą, czy gorszą od

poprzedniej — lecz człowiek. I nie żaden tytan, genialny i z jednej bryły granitu ukuty, lecz zwykły człowiek szukający, błądzący i znajdujący, ulepiony z tej samej gliny, co każdy inny w wiekach poprzednich. Troska o umocnienie człowieka w tej czekającej go walce musi być motorem działania każdego prawdziwego humanizmu, bez względu na przymiotnik, którym ten humanizm zechcemy obdarzyć.

Każdy więc, kto troszczy się o to, jakim powinien być człowiek dzisiejszy, by swe zadanie spełnił, niech poszuka odpowiedzi w dziejach Pawła z Tarsu — znajdzie ją tam na pewno. **Wojciech Kętrzyński**

Siedniopiętrowe ruiny pasaży Smonska sterczały wciąż wysoko wśród szeregów wypalonych domów i pofalowanych rumowisk ghetta. Od wielu dni batalion „Chrobry I” tkwił w nich, odpierał nieustannie ataki nieprzyjaciela, który czynił wysiłki, aby go odciąć i zniszczyć. Wokół padały powstańcze re-duty, punkty oporu i barykady.

O świcie 28 sierpnia Niemcy otworzyli silny ogień artylerii i miotaczy min na pałac ksząta Radziwiłłów, na Bielańskiej, a następnie ruszyli do natarcia. Oddział por. Nałęcza, z Korpusu Bezpieczeństwa i kompania „Legii Akademickiej”, z batalionu „Gozdawa” walczyły uporczywie, ponosiły ogromne straty, sięgające 70% zabitych, musiały się wycofać na tyły domu Długa 27, do fabryki „Koloryt”.

W podziemiach pałacu, pozostał ks. Janusz Radziwiłł ze swoją małżonką.

Nieprzyjacieli podprowadzał coraz to nowe siły w ruiny pałacu Mostowskich i arsenału, opasywał pasaż. W jego obronie odznaczyło się wiele powstańców, ale kpt. Wład zasłynął i upamiętnił się najwięcej.

Wśród powstańców otaczał go jakiś tajemniczy nimb, wywierał niesamowite wrażenie na całej otoczeniu, już samym wyglądem. Twarz pociągała szaro-żółta, a w niej oczy zielone, dziwnie błyszczące i głęboko osadzone. Wielekroć opadły z sił, w ciągu kilku minut zmieniał się nie do poznania, wybuchał niesamowitą werwą, energią i zapałem. Chodził w lotniczym mundurze i w czarnym berecie. Imponował swoją wspaniałą odwagą i brawurą, przejawiającą się w szalonych eskapadach i wyczynach. Przy tym wszystkim był bardzo skromny. Niewiele o nim wiedzieli w batalionie. Nie mówił nigdy o sobie i o swojej przeszłości. Ktoś powiedział, że jest on lotnikiem, zestrzelonym w czasie nalotów nad Niemcami, inni przypuszczali znów, że jest spadochroniarzem z Anglii, cicho-ciemnym. Nikt nie znał jego nazwiska, nie wiadomo czy ma żonę, rodzinę, skąd pochodził.

W pierwszych dniach powstania na Starówce podejmował rzuty z ramienia dowództwa, a gdy te były coraz rzadsze, a w końcu ustały prowadził walkę z nieprzyjacielem na własną rękę, jako wolantariusz. Do batalionu „Chrobry” żywił dziwny sentyment.

Nikt nie umiał tak doskonale jak on określić sytuacji bojowej.

Wiedział nieomal o każdym posunięciu nieprzyjaciela, potrafił z dokładnością określić jego siły, znał każde stanowisko nieprzyjacielskiego cekaemu, gniazdo granatnika. Meldunki Włada, jakie otrzymywał batalion, a które przysyłał wyżej, były najbardziej pewne, dokładne.

Zwykle o zmroku wychodził z karabinem i powracał rano. Często zniknął tajemniczo na kilka dni, zazwyczaj się w wyniosłych ruinach i wyłuskiwał pojedynczych Niemców, najchętniej wyborowych strzelców, „gołębiarzy”, celowniczych, oficerów. Chłopcy dziwili się i zapytywali, kiedy ten Wład śpi. Czasem w ciągu dnia położył się na godzinę

Stanisław Podlewski

„TAJEMNICZY KAPITAN”

lub dwie, ale przeważnie postanie jego w garażu, na kwaterze plutonu ppor. Lisa stało puste.

— Dlaczego pan kapitan chodzi sam? — pytał go chłopcy.

— Nie chcę nikogo z was narażać, jesteście młodzi i potrzebni krajowi.

Któregoś dnia przyniósł z nocnej wyprawy jakąś tajemniczą rurę.

Chłopcy oglądali ją z nieufnością i ze zdziwieniem, gubiąc się w domysłach.

— Garłacz! — powiedział wreszcie.

— Cóż to za broń — śmiali się niektórzy. Kawał żelaza. Jak z tego strzelać?

— Panie kapitanie, a są do tego garłacza pociski? — zapytała łączniczka Mucha (Jadwiga Muszyńska).

— Oczywiście są. Chodź ze mną, pošlemy Niemcom jedną pigułkę, pomścimy Dankę (jej siostrę, łączniczkę z batalionu „Gozdawa” poległą przed kilku dniami).

Poszli w pobliże ruiny pasaży, jeszcze te z września 1939 roku. Wład ustawił swój karabin, przygotował przyrząd celowniczy i nałożył rurę garłacza na łufę swojego karabinu. Długo spokojnie celował na dziedziniec arsenału.

— Uważaj Mucha — powiedział. Włożył nabój w rurę garłacza, pociągnął za język spustowy. Pocisk garłacza wyleciał z trzaskiem, zakreślił w górze ostry łuk i z hukiem spadł na kamienny dziedziniec arsenału.

— No widzisz wcale nie zła broń.

Mam jeszcze trzy pociski — mówił. — Można by nim rozwalić bunkier w ghecie, za ogrodem Krasieńskich, ale pozostawiam to na jutro, muszę wystarać się o lekarstwo dla Górala.

Powrócił znów nad ranem, zmęczony, głodny, ale przyniósł pełną torbę medykamentów.

— Skąd je kapitan ma?

— Zarekwirowałem je Niemcom — odpowiedział z uśmiechem — z apteki na Młodowej.

Przy okazji wyszabrował sporą ilość pierników i słodyczy od Fuchsa. Przyszedł na kwatery, rozdał chłopcom i dziewczętom słodycze, wypił kilka kubków czerwonego wina, którego batalion posiadał spore zapasy, poszedł do adiutantury, aby omówić z Konarem sytuację bojową. Przyniósł sporo ważnych wiadomości o nieprzyjacielu.

— Ostatniej nocy Niemcy wybudowali nowe stanowiska karabinów maszynowych około Banku Polskiego — ostrzegali. Będą teraz prali w pasaż — nie wychodźcie do bramy.

Któregoś dnia samoloty nadlatywały nieustannie nad pasaż, krążyły nisko i coraz to pikowały z piekielnym świstem. Gdy wszyscy uciekali do schronów lub kryli się, Wład stał na dachu pasaży, oddawał najspokojniej strzał za strzałem ze swojego karabinu do samolotów. Jego zuchwałstwo doprowadzało pilotów do paroksyzmu wściekłości, atakowali go z niskiego lotu i ostrzelali z broni pokładowej. Całe serie pocisków kilku sprężonych karabinów maszynowych rzeźbiło wokół niego ślady, furczyły rekoszety, a on jakgdyby ich nie dostrzegał, ostrzeliwał samoloty aż do ostatniego naboju.

— Gdybyśmy mieli choć jedno lekkie przeciwlotnicze działko — to bym wam takie syny pokazał — groził samolotom zaciśniętymi pięściami. Kilka razy powtarzały się te szalone pojedynki, wychodził z nich szczęśliwie.

— Ten Wład szuka wyraźnie śmierci — mówili wszyscy. Dziwne ma szczęście, że nawet dotąd nie był ranny.

Wielu dobijało się, aby z nim iść na taką eskapadę.

Łączniczka Mucha prosiła go kil-

ka razy, ale on nie chciał o tym słyszeć, wyraźnie wątpił w jej odwagę. Nie ustępowała. Zamęczała kpt. Konara, swojego dowódcę, o wstawnictwo, aż któregoś dnia zgodził się ją zabrać.

Weszli na siódme piętro pasaży. Miał tutaj swoją strzelnicę. Roztaczał się stąd rozległy widok na całą staromiejską dzielnicę i ghetto.

— Słuchaj Mucha — powiada w pewnej chwili. Dojść do tego otworu w ścianie.

— POCO?

— Chciałbym, aby cię szkop zobaczył. I tu wskazał na rejon Banku Polskiego. Tam znajduje się gniazdo nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. Wiem, że tam jest, ale nie mogę dostrzec w którym oknie. Zorientuj się, gdy do Ciebie strzela.

Mucha spojrzała na niego zdumiona tą propozycją. On chyba żartuje.

— JAKTO MA WYSTAWIĆ SIĘ NA CEL SZKOPOWI?

No tak. Jak on strzeli — to ja go zobaczę i wtedy będę mógł drania ubić.

— Ale panie kapitanie on mnie prędzej ubije za nim pan kapitan wystrzeli ze swego karabinu.

— Więc się boisz?

— Ja się nie boję. Ale uważam, że to nie ma sensu — powiada patrząc z rozpaczą na otwór w ścianie, wielkości drzwi.

— Jak się nie boisz — to poco się targujesz. Pokaż się Niemcom natchmiast albo stąd zmiataj, na dół...

Szyderczy uśmiech drgał mu na wargach. Mucha bała się ogromnie, ale właśnie teraz nie przyznałaby się do tego za żadne skarby.

Ostrożnie doszła wzdłuż ściany do otworu, ledwo zdążyła wychylić głowę warknęła krótka seria karabinu maszynowego aż odpryski posypały

się ze ściany. Ledwie zdążyła uskoczyć za komin, gdy rozległ się strzał Włada. Na poddaszu zaległa taka cisza, że słyszała bicie własnego serca.

Po chwili zza drugiego kominu wyszedł Wład. Na jego zmęczonej szaro-żółtej twarzy jaśniał uśmiech.

— Brawo Mucha! Zrobiony! Władzisz, jak tam zwisa w oknie. Lecz dziewczyna była tak oszołomiona, że ledwie rozumiała jego słowa. Wład podał jej lornetkę. Spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście z okna zasłoniętego szarym kocem zwiślał bezwładnie Niemiec, głową w dół, z rękami rozłożonymi, bez hełmu.

— Władzisz Mucha, mówił Wład, teraz będzie można swobodnie i pewnie poruszać się na strychu. Niemcy zmieniają stanowisko tego cekaemu.

Rzeczywiście uczynił się tam ruch. Przed nimi ciągnęła się ogromna pułta przestrzeń rumowisk, dziwnie zaróżowiona, gdzie niedługo tylko poprzetykana kępkami zieleni. Wład dostrzegł w ruinach jakiś ruch.

— Poczekaj tutaj — powiedział — ja idę do garłacza. Mam trzy pociski. Może uda się rozbić ten bunkier w ghecie.

Za chwilę padły strzały. Dwóch Niemców wycofywało się, a trzeciego wynosono.

Wład zapraszał Muchę, aby poszła z nim następnego dnia na inną eskapadę, nie mniej emocjonującą.

Lecz niespodziewanie nastąpił u niej atak wyrostka robaczkowego, lekarz nie pozwolił się jej poruszać. Leżała obolała i wściekła, w czasie badania lekarskiego ukradli jej pistolet. Wład pocieszał ją, że jeśli zginie to niech sobie weźmie jego „Colta”.

Tymczasem Niemcy wgrzyźli się w teren wokół pasaży. Najbardziej dawało się we znaki powstańcom gniazdo granatnika, przyczajonego w różowych ruinach ghetta za arsenałem. Wład zdecydował się zlikwidować go.

W dniu 27 sierpnia wszedł na wieżyczkę pasaży. Przez chwilę lornetował, złożył się, celował długo — rozległ się wystrzał. Na stanowisku zginął jeden z Niemców w chwili gdy wkładał pocisk w rurę granatnika. Trzej inne zaczęli się rozglądać, z której strony mógł paść strzał, spojrzeli w górę, dojrzał Wład, wychylił się zuchwale i wygrażał im pięścią, gdy z przeciwnej strony rozległ się strzał.

Wład dostał ekrazytowym pociskiem w samą głowę.

Właśnie przez podwórce pasaży przechodził oddział z batalionu „Chrobry”, gdy okrwawiony czarny beret spadł wśród szeregow.

— Ktoś krzyknął przeraźliwie:

— Kpt. Wład zabity!

Przyszedł kpt. Konar, wyjął z jego ubrania portfel, a kiedy zaczął sprawdzać jego dokumenty wypadła fotografia młodej kobiety i małego chłopczyka. Więc miał żonę i dziecko.

— Pamiętaj... nazywał się Wiktor Dobrzański, gdybym zginął, postaraj się odszukać jego rodzinę...

Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka

Komunikat Nr 3

Skład Jury Nagrody

Komitet Organizacyjny ogłoszonej przez „Dziś i Jutro” Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka zwrócił się do szeregu wybitnych osobistości z prośbą o wzięcie udziału w pracach jury. W rezultacie powyższej inicjatywy skład sądu konkursowego został ustalony następująco:

P.P.

Dr. Juliusz Dłużewski-Nowak

Jan Dobraczyński

Dr. Władysław Jan Grabski

Dyr. Inż. Szczepan Jeleński

Ks. Dr. Piotr Oborski

Prof. Dr. Stanisław Pigoń

Prof. Dr. Władysław Tatarkiewicz.

O dalszych czynnościach jury donosić będziemy w następnych numerach „Dziś i Jutro”.

Artur Zatopiński

Wspomnienie o Włodzimierzu Pietrzaku*)

(dokończenie)



Przypomnienie tego faktu nie jest wcale obojętne w chwili, gdy likwidacja starych antagonizmów klasowych, pozwala żywić nadzieję, że polityka przedziej czy później, przekształci się w wiedzę ściśłą, w metodologię i technikę zaspakajania potrzeb ludzkich w sposób bez namiętny i obiektywny, wolny od nienawiści i antagonizmów. Tęskno ta do specjalizacji, pragnienie, by wreszcie znaleźć się w rękach fachowców wyzwolonych od zawiści, które wyniszczają, — ta wizja technokratyczna zmagająca się w nas z staroświeckim wyobrażeniem demokracji reprezentowanej przez przyrządkowych krzykaczy.

Świat, mówiliśmy w okresie wojny, znajduje się w rękach zbrodniczych nieuków i psychopatów. Na si straszni ojcowie to producenci katastrof. W artykule pt. „Możliwość dydaktyzmu“ drukowanym na łamach „Dziś i Jutro“ Pietrzak cytując uwagę Irzykowskiego potwierdzającą słuszność niniejszych rozważań. Irzykowski stał na stanowisku, że dzieje powinny być kierowane przez myśl kulturalną i wtedy byłyby dramatem świadomym. Tym czasem dramatem dziejów rzeczywistych jest obmyślany i reżyserowany przez głupich partaczy ze sfery bieżącej polityki. Bieżąca polityka wypełnia dzieje, kultura zaś jest dramatem ubocznym i służebnym.

Pokolenie nasze marzyło o zmo wie uczonych przeciw mężom stanu. Wyzwolenie nauki spod władzy opętanych, uchodziło za ważne za danie. Balk nieraz zwracał uwagę na fakt, że ci, którzy najlepiej znają się na rolnictwie, przemyśle, czy organizacji handlu, nie mają czasu ani ochoty brać udziału w rozgrywkach o fotele sejmowe czy ministerialne. Pochłonięci swoją specjalnością, rezygnują ze służby publicznej, ustępując miejsca ambitnym ćwierćinteligentom rozstrzygającym wszystkie zagadnienia przy pomocy staroświeckich doktrynerskich formuł. Ustrój mówiliśmy wtedy, musi być tak urządzony, żeby fachowcy mogli do chodzić do głosu. Przewyciężenie myślenia partyjnego tylko, — ten moment decyduje o rozwoju lub sprowadzi klęskę jakiejś świat nie widział. Wszystko co jest rozsądne, zmierza dziś ostatecznie do tego, by rządy znalazły się kiedyś w rękach sztabu specjalistów, reprezentujących punkt widzenia wyłącznie rzeczowy. Pytanie: jak zapewnić najlepszym umysłom, zwy cięstwo nad demagogami, było najbardziej dramatyczne dla nas. Zapytacie skąd ono się wzięło? Odpowiedź będzie wyraźna. Szło o znalezienie płaszczyzny obiektywnej, o wydobycie się z bajora antagonizmów lokalnych. Prawdopó-

Patrz: „Dziś i Jutro“ nr 12 (121).

dobnie jesteśmy na to za głupi, aby tę konieczność pojąć póki czas. W takim razie — tym gorzej dla Polski i dla nas. Pietrzak chciał uczynić ze swej publicystyki narzędzie tępienia złudzeń świadomości, podjął tę myśl Brzozowski go, by ustokrotnie jej zasięg. Że umiał myśleć socjologicznie, tego dowodzi jego znakomity essey o literaturze chłopkiej, gdzie m. in. powiedział: „Dwa są motory uczuć chłopca, konkretny zmysł rzeczywistości, a stąd płynąca niezdolność do rojeń, oraz zadawnione poczucie społecznej krzywdy — pretensja o historię wyrażająca się w zawiści i nieufności“.

Nieufność będąca odpowiednikiem inteligentnego sceptycyzmu może być cenna. Zwłaszcza w okresach przejściowych, uodpornia ona narody w stosunku do działania doktryn, empirycznie w pełni niesprawdzonych. Ale trzymajmy się myśli autora. „Program stronnictwa ludowego w odrodzonej Polsce, pisze on w dalszym ciągu, był anomalią jeśli idzie o jego zakres. Ograniczał się właściwie do żądania więcej ziemi. To żądanie może być fragmentem wielkiej reformy cywilizacyjnej i społecznej, samo jednak nie jest jeszcze reformą! Nie można stawiać sprawy w ten sposób, że reforma sprowadzi automatycznie wszystkie możliwe po myślnie skutki. Bohaterowie epopei chłopkiej muszą dojrzeć swoje psychologiczne kajdany, muszą zrozumieć, że motywy zawiści jest historycznie niedostateczny, praktycznie wystarczający do dzieła likwidacji, nie do dzieła budowy nowych form życia. Jaką rolę chłop spełni w nowym ustroju zależy hę dzie przede wszystkim od tego na ile będzie zdobywczy“.

Przez zdobyczość rozumieć mu simy przyswojenie sobie techniki rządzenia państwem. „Do przyszłowiowej nędzy polskiej, do tego nizu cywilizacyjnego, który przeżywalis my i który długo jeszcze będziemy znosić jako obrożę i kaganiec w historii, doszła Polska przez brak zrozumienia dla zagadnień produkcyjnych w warstwie szlacheckiej. Podstawą układu politycznego w świecie 19 i 20 stulecia była siła gospodarcza krajów i w tej emulacji, niż cywilizacyjny jest jak najgorszą bazą wyjściową. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że reforma rol na — dobrze, ale z punktu widzenia zadań cywilizacyjnych i politycznych ruchu ludowego w Polsce, to jeszcze nie wszystko“.

Obcowanie z Pietrzakiem, kształciło, ponieważ człowiek ten miał za miłowanie do podejmowania zagadnień konkretnych. Chwytał by ka za rogi właśnie tam, gdzie inni poprzestawali chcieli na ogólnikach, deklaracjach, hasłach, na szarej i mętnej teorii. Badał, że on pierwszy powiedział socjalistom że sam fakt upaństwowienia środków produkcji, stopy życiowej nie zmieni. To co Marks nazywa nadwartością, przez długie lata będzie szło na odbudowę. Optymizm tak, ale długofalowy. Żadnych doraźnych obietnic. Reformy społeczne mają to do siebie, że w pierwszej fa zie przekształcają one egzystencję kilku tysięcy ludzi lecz materialna sytuacja mas pozostaje w zasadzie ta sama. Poprawę ekonomiczną bezpośrednio odczuwa chłop, któ remu do posiadanego gruntu doda no ziemię pańską. Jeżeli przed tym roli nie miał, dwa hektary, bez wysokich kredytów na inwestycje, od nędzy go nie wybawia, to było z góry wiadome. Pietrzak zawsze był zdania, że marksizm przecenia

znaczenie psychologicznych skutków rewolucji, zwłaszcza na tym odcinku, gdzie konkretne położenie człowieka pracy z przyczyn obiektywnych nie może ulec szybkiej i zasadniczej poprawie.

Ten człowiek przeszedł świetną szkołę. Za czasów akademickich, z pasją uczęszczał na wykłady prof. Kotarbińskiego, który nauczył nas myśleć ostro krytycznie i ściśle, legitymować /znaczenie wyrazów, badać jakie fakty odpowiadają pojęciom przez nas używanym. Taka metoda pozwala rozpruć podszewki popularnych haseł, zachęca do tego, by patrzeć co jest w środku, jakie pokrycie społeczne? Zostaliśmy dostatecznie uodpornieni na frazeologię. Nasza pogarda dla ogólników wykształciła się już w okresie lat międzywojennych. Kto czytał eseje Pietrzaka, ten miał okazję sprawdzić w jakim stopniu technika historycznej interpretacji zjawisk kulturalnych została opanowana przez tego pisarza, który wszystkie motywy literackie ujmując na tle ewolucji dziejowej. Tatarokie wicz wyraźnie tutaj zaważył.

Ilekróć zastanawiano się nad tym, jaka będzie socjalna funkcja inteligencji w ramach nowego ustroju, Balk stawiał pytanie o kapitalnym znaczeniu dla Polski. Kto z nas ludzi wychowanych w mieście naprawdę reprezentuje dziś masy?

Czy lud kiedykolwiek rządził i decydował o swojej własnej historii? Istnieje podejrzenie, że wszyscy ci dotychczasowe przewroty reżyserowane były przez intelektualistów wyrażających głos ludu w redakcjach i salach wiecowych.

Rewolucja francuska została przy gotowana w salonach, proletariatu do niedawna był wielkim niemową, a ci, którzy z niego wyszli bardzo szybko tracili poczucie z rzeczywistością w obrębie mieszczańskiego milieu.

Co zrobić, żeby skonfrontować istotne pragnienia milionowe z treścią doktryn głoszonych dziś w imieniu zbiorowości ludzkiej? Czy my inteligenci naprawdę dokładnie zdajemy sobie sprawę z tego czego chcą robotnicy i chłopi? Nie sugerujmy się ideami sporządzonymi w miejscach od życia odległych.

Ankiet socjologicznych nam trzeba, badania opinii publicznej, stenogramu pragnień ważniejszych niż wszystkie doktryny, wytworzone w warunkach zgola odmiennych niż nasze.

Jasne. Politykę robią zawodowcy. 10 tysięcy ludzi z reguły wyczerpuje ten kontyngent speców, bez względu na ustrój społeczny. Chodzi oto czy ta czynność nie wy korzenia ich z socjalnego podłoża. Czy nie przeinacza perspektyw, czy nie deformuje poddając ich si łą rzeczy działaniu nowego stylu życia, zupełnie innego niż ten do jakiego na dole przywykli? W tym miejscu tworzy się nowy układ, zamknięta i wtajemniczona kasta. Problem krążenia elit jak bumerang powraca.

Co określa świadomość pisarza? Czy tylko kompleks spraw absorbujących jego uwagę i wyobraźnię w toku wieloletniej pracy? Takie ujęcie tematu jest oczywiście możliwe, ale za tym nie widać człowieka. Na marginesie tych uwag, wyczuwa się wielki niedosyt. Głód niedyskrecji towarzyszący biografom sporządzanym dla ludzi ciekawych. Wtargnijmy odważnie w ten nurt. nasz portret zbyt wiele zawiera przemilczeń. Dalibóg za bardzo jest abstrakcyjny i zasadniczy, jak

wszystko co dzisiaj się pisze. Pryncypializm leży w naturze epoki, ale z nim trzeba się zmagać! Ta pewna sztywność ujęcia zmęczyły już autora i czytelnika.

Pietrzak zanotował: „My jesteśmy synami racjonalistycznego intelektu i naukowego doświadczenia. Uczucie nazywamy emfazą, sceptycyjni od kołyski. Ale właśnie dlatego chyba wolimy od przygód intelektu, awantury mechanicznej, szybką jazdę autem, banalne uwiedzenie kobiety, miłość fizjologiczną, a nie erotyczną. Ten dreszcz tylko po wierzczeniu, nie dozwalamy aby przenikał nas do głębi.“

To szkoda, należałoby się wydobyć ze zubożenia i zacząć żyć wszystkim. Nie należy siebie oszczędzać.

Musieliśmy przewyciężyć tradycję erotycznej egzaltacji polskiej. Do tego przyczynił się dowcip, humor ostry, towarzyszący młodości w epoce przesilenia obyczajowego, knajp i kabaretów.

Ofensywę cynizmu, podjęła wtedy satyra, przedrzeźniająca odruchy instynktów; żart ścigał miłosną ekstazę.

Tak powstał klimat najgłębiej sprzyjający milczeniu ludzi zakochanych, powracających do przytomności po to, by się czym prędzej uśmiechnąć.

Nowy rodzaj wstydlivosti. Czujność w zakresie stylu.

Kobiety wtargnęły w nasze życie głębiej, niż kiedykolwiek przedtem. Nie o emancypację tu szło. Ich wszędobylstwo polityczne, rosnący stopień wtajemniczenia — ten moment w niedostrzeżalny sposób przekształcił atmosferę, młodzieńskich męskich sprzysiężeń. Intrygi erotyczne, ciasno się splotły z innymi. Było wiele elektryczności w powietrzu. Wywiązał się pewien niepokój.

Poznaliśmy więcej ekscentrycznych panien niż jakkolwiek generacja nas poprzedzająca. Młodość stała się intensywna, tkwiła mocno w kręgu odurzenia.

Powściągliwość nasza — pamiętamy ją dobrze, tę grę spazmatycznego tłumionych odruchów. Balk znał się na tym, ten spowiednik za kochanych par, arbiter licznych konfliktów.

Chyba żadne pokolenie kobiet nie powierzyło tylu sekretów mężczyznom. To był czas rozkwitu psychologicznych powikłań dziewczęcych — czas zwierzeń. Zamiłowanie jakie okazywaliśmy tym sprawom, dobrze świadczy o naszych humanistycznych skłonnościach. Ta generacja odrzuciła styl młodopolski i romantyczny, by odkryć odmienny rodzaj ekspresji: milczenie przyprawiające ją o zawrót głowy. Wyznania były dla świadków, dla przyjaciół nie uczestniczących w grzechu. Lecz to miesiącami trwające czajenie się na siebie, ta zdolność wytwarzania napięć przedłużających się ponad miarę i ponad wytrzymałość ludzką. Może jeden Conrad w „Ocaleniu“ pojął ów wymiar uczuć.

Balk powiedział kiedyś, że nasze upodobania estetyczne posiadają związek z urodą absorbujących nas kobiet. Literatura nie wyłoniła wtedy jeszcze nowego stylu współżycia. Rozwiązania wynikające z charakteru najgłośniejszych książek, okazały się bardzo trywialne Boy i Kaden, ci dwaj, różnymi środkami wydobyc próbowali co? Tak zwany patos fizjologii wyzwolonej z kanonów moralnych. Ich rewizjonizm obyczajowy nas śmieszył. Po trze-

sajęcej religijnej sankcji, ograniczeń jakie warunkują świętość!

Byliśmy zbyt... wolni. Dręczył nas problem nienasycecia, równającego się kapitulacji. Zawsząd wyzierało ku nam zuchwalstwo albo uliczna groteska. W tej sytuacji wyłoniły się upodobania dość niespodziewane. Pokolenie młodych drapieźników, zasmakowało w psychologii Nalkowskiej. Te powieści brzmiały jak zwierzenie duchowo bliskich nam dziewcząt. Stały się sztyfrem umownym.

Ponieważ losem naszej generacji miało stać się ciążenie ku śmierci — konfrontacja z żywiołem tragizmu, była jej wielką potrzebą. Z chwilą gdy uwierzyliśmy, że przebieg wojny i bez naszych ofiar byłby na pewno ten sam, naruszone zostały podstawy sprzyjające egzaltacji czynu. Dwuznaczną stała się apoteoza krwawego działania. Nasz zmysł nowego realizmu buntował się przeciw złej i nieprawdziwej literaturze, pojętej jako drobno-mieszczański konkurs pocieszenia.

Twórczość Nalkowskiej i Iwaszkiewicza była odtrutką na ekspresjonizm Kadena, odwracała uwagę od dziwactw awangardowych w kierunku najtrudniejszej ze wszystkich: prostoty. Kaden jednak, w Generale Barczu podjął zagadnienie psychologii i techniki rządzenia, dlatego nie mógł nam być obojętny, Pietrzak napisał o nim te słowa: „Barcz jest powieścią o stawianiu się wielkiego człowieka i dla tego ma nie tylko wartość dokumentu jak Nikodem Dyzma, ale wartość czystą. Istnieje tu niezrozumiałość dla współczesnego czytelnika obojętność wobec zagadnienia granic rodzącej się Polski, a poza tym straszliwa nieczułość wobec krzywdy społecznej, wobec nędzy. Jakże inaczej Barcza pisałby Żeromski. W Bandrowskim pociągala młodych, wola kształtowania stylu, straszliwa zacieklność jego pracy. Czytając ma się wrażenie, że ten człowiek godzinami boksuje się i zmagą z każdym swoim zdaniem!“

Lecz czego było nam brak w literaturze? Wizji! Wiedzy o pełni istnienia. Chcieliśmy w niej widzieć zapowiedź możliwości dających się zrealizować. To pokolenie żądało, by pisarz umiał mu wreszcie powiedzieć jakiego życia chce dla siebie i swoich współczesnych?

Przyszła wojna i od razu zmieniło się wszystko, Pietrzak zaczął żywać swój niedosyt czynu. Chciał sprawdzić sam siebie w działaniu. Od listopada 1939 rozpoczął walkę z Niemcami, redagując przez pewien czas Pobudkę, a następnie wiążąc się ściśle z Konfederacją Narodu. Początkowo był kierownikiem propagandy wydziału politycznego, następnie od marca 1943 do lipca 1944 redaktorem Nowej Polski. Od maja 1944 objął stanowisko szefa sztabu K. N. Mimo negatywnego stosunku do koncepcji powstania, wbrew namowom przyjaciół, pragnął wiaź w nim udział jako prosty żołnierz. Zginął ranny w głowę odłamkiem granatu. Był mianowany podporucznikiem i otrzymał Krzyż Walecznych.

W pamięci współtowarzyszy walki podziemnej pozostał jako wzór niezawodności, ofiarności i wielkiej odwagi. Czujemy Go dziś, bo zrealizował w sobie pełnię człowieczeństwa. Był kimś najbardziej wszechstronnym w tym gronie, roz wijał się w wielu kierunkach, wy tworzył styl życia do dzisiaj atrakcyjny i pociągający.

W kraju...

PRZEMOWIENIE
PREMIERA CYRANKIEWICZA

Na posiedzeniu Stołecznej Rady PPS premier Cyrankiewicz, jako Sekretarz Generalny stronnictwa wygłosił długi referat na temat jednolitego frontu obu partii robotniczych. Wstępna część referatu była poświęcona obszernej analizie światowej sytuacji socjalizmu, który zdaniem Premiera przeżywa głęboki kryzys, polegający na przepaści, jaka się wytworzyła między lewicą, a prawicą socjalistyczną. Józef Cyrankiewicz skrytykował ostro stanowisko prawicy socjalistycznej, upierającej się przy demokracji „formalnej”, parlamentarnej, będącej w swoim czasie wynikiem postępowych dążeń mieszczaństwa, z czasem jednak przestającą w „narzędzie klasowego panowania burżuazji”.

Mówca powołał się na wypowiedź sekretarza generalnego PPR Górniki na naradzie 9 partii, który stwierdził, że współpraca PPS z PPR uchroni Polskę przed różnymi wstrząsami politycznymi i gospodarczymi. Premier Cyrankiewicz ujawnił w swym przemówieniu antyjednolito-frontowe tendencje nurtujące w szeregach PPS, zwłaszcza w okresie po wyborczym, kiedy niektórzy członkowie partii traktowali wspólny front nie ideologicznie, ale taktycznie, jako zło konieczne, jako „grę giełdową kupić - sprzedać”. Byłoby rzeczą dla ruchu robotniczego i dla rewolucji niebezpieczną — mówił Premier — gdyby ci pseudo-humanisci i marzyciele mieli ponosić odpowiedzialność za sprawowanie władzy. Przedwcześnie bowiem nawroty — powiedziałbym — kaprysy liberalizmu w okresie, w którym rewolucja jeszcze nie okrzepła powodują potem jeszcze większe koszty utrzymania władzy wobec rozuchwalenia owym liberalizmem wrogów rewolucji. Mówca oświadczył, że Komisja Polityczna CKW PPS wyciągnęła w stosunku do organizacji łódzkiej ideologiczne i organizacyjne wnioski po lutowej konferencji PPS w Łodzi, której przebieg groził uwstecznieniem dokonanego już procesu jednolito-frontowego zbliżenia. Zapowiadają bezwzględna walkę z tendencjami prawicowymi w PPS, Premier oznajmił o wypracowywaniu odpowiednich instrukcji dla nowego okresu, który ma doprowadzić do organicznego zespolenia obu partii robotniczych.

PSL I SL.

Z OSTATNICH wypowiedzi przywódców PSL i SL wynika nieodwrotnie, że organizacyjne zlanie się obu stronnictw w jedną partię ludową jest już tylko kwestią czasu. Obecnie toczą się rozmowy w sprawie zawarcia umowy o jedności działania. W terenie zostały utworzone komitety porozumiewawcze PSL i SL, mające koordynować wszelkie akcje przedsięwzięte na zewnątrz przez poszczególne oddziały obu stronnictw.

WŁADZE NACZELNEJ RADY
DLA SPRAW MŁODZIEŻY

PREZYDENT Bierut ustalił skład Naczelnej Rady dla Spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej. Przewodniczącym Rady został mianowany Stefan Ignar — prezes „Wici”. W skład Rady wchodzi również Komentant Główny „Służby Polsce” płk. Edward Branlewski, — Inż. Tadeusz Kuchar otrzymał nominację na Dyrektora Głównego Urzędu Kultury Fizycznej.

Czytajcie

„SŁOWO Powszechne”

Wanda Olechowska

LIST DO PANI ANNY

W artykule swoim pod tytułem „Hierarchia Obowiązków”*) stwierdza Pani, iż „istnieje brak precyzji w definicji dwóch pojęć jakimi są cel i obowiązek”. Jednakże, nie podaje Pani również. Cóż to więc jest obowiązek? Jest to czynność, którą spełniamy w poczuciu, iż jest ona komus lub czemuś należna. Jest to pewnego rodzaju spłata długu, zaciągniętego przez nas bez pośrednio lub pośrednio, w stosunku do Boga, idei lub człowieka. Celem zaś nazywamy dobro ku któremu dążymy.

Polemizując ze zdaniem wyjętym z artykułu St. Podlewskiego „Łączniczki Starego Miasta” Dziś i Jutro z dn. 23.XI. 1947 pisze Pani, iż „Nie trzeba i nie można znać hierarchii celów, gdyż cel jest tylko jeden. Dla nas celem tym jest osiągnięcie szczęśliwości wiecznej — czyli Bóg”.

Otóż zdanie to wydaje mi się niesłuszne. Niewątpliwie jest tylko jeden cel ostateczny, ale jedyną drogą do osiągnięcia Go jest kolejne dążenie do celów pośrednich. Tylko etapami może człowiek osiągnąć cel najwyższy. Tylko przez osiągnięcie celów pośrednich, jak po drabinie, piąć się może ku szczytom. Samo stwierdzenie — Kocham Boga i ku Niemu dążę — nic nie znaczy, jeżeli człowiek nie będzie dowodził prawdy swoich słów, osiągając cele hierarchicznie coraz to wyższe na drodze swego doskonalenia. Dlatego właśnie — trzeba znać hierarchię celów.

Tak samo jak istnieje hierarchia celów, istnieje również hierarchia obowiązków w zależności od wartości, którym służą. Obowiązki spełniamy zasadniczo w stosunku do ludzi, Ojczyzny i duszy własnej. O ile najwyższym i ostatecznym celem naszym jest Bóg o tyle największym naszym obowiązkiem, stośownie do hierarchii wartości celów — jest praca nad zbawieniem naszej duszy. To właśnie sprawia, iż możliwy jest konflikt pomiędzy obowiązkiem ziemskim, naturalnym a tym hierarchicznie najwyższym — związanym z potrzebą duszy na jej drodze ku Bogu.

*) P. Anna Brykcyńska — „Hierarchia Obowiązków”, Tygodnik Powszechny — Nr. 8 b. r.

Heroizm życia codziennego jest wartością ogromną — ma Pani rację — i nie wolno go nie doceniać. Jednakże każdy heroizm a więc i ten właśnie musi obejmować możliwość ofiary. Inaczej jest niepełny. I są ludzie, dla których koniecznością ich duszy jest dopełnienie tej ofiary. Tylko w ten sposób pojęty ich heroizm może służyć jako przykład.

Tyle na temat uwag merytorycznych. Przechodzę teraz do zagadnienia dla mnie istotnego, do postawy omawianej przez Panią „Łączniczki ze Starego Miasta”.

Zgadza się zupełnie z Panią, że przynajmniej większość młodych kobiet wzięła udział w Powstaniu z pobudek zupełnie nieprześlanych. Że choć kierowały nie mi najlepsze chęci to nie usprawiedliwiają one w niczym ich karygodnej lekkomyślności. Pomijam tu kobiety wolne, interesują mnie, w związku z poruszonym zagadnieniem indywidualnym — matki. I znów powtarzam, ma Pani absolutną słusność kiedy potępia Pani jako wzór do naśladowania fakt zastawienia dwojga małych dzieci dla wzięcia udziału w Powstaniu. Złe przedstawiałyby się przyszłość Narodu, w którym wszystkie młode matki potraciłyby życie nawet powodowane najszlachetniejszymi o budkami pozostawiając tysiące osieroconych dzieci. Pójdę jeszcze dalej. Myślę, że służyć Bogu można na każdym odcinku i dlatego kobieta, która wychodzi za mąż, już w chwili małżeństwa daje świadectwo jaką drogą wybrała, w jaki sposób chce swoją służbę Bogu pojąć. Wybiera jedno, a więc odrzuca wszystko inne i musi być konsekwentna. Nie wolno jej zapominać nigdy, że jej największym i pierwszym obowiązkiem naturalnym są jej dzieci. Każdy inny pogląd na tę sprawę jest potwornym wykoślawieniem pojęć i grzechem wobec Boga.

Jeżeli jednak wydajemy sąd o kimś, kto bronić się już nie może, i jeżeli chcemy być w nim absolutnie uczciwi, nie wolno nam generalizować, ale musimy rozpatrzyć sprawę z punktu widzenia indywidualności danej jednostki.

Są przedmioty tak kruche, że człowiek boi się wziąć je do ręki by ich nie uszkodzić. Są sprawy tak wielkie, czyste i wspaniałe, że lęk ogarnia, by poruszając je nie zbeszczyć ich nieudolnością mowy, niedoskonałością odczucia czy zrozumienia. Tajemnica duszy ludzkiej, bo o niej chcę mówić, jest zamknięta dla wszystkich. Są sprawy, które człowiek obdarzony łaską rozmowy z Bogiem przeżywa w głębi swojej duszy i pozostaną na zawsze wiadome tylko jemu. Różnymi drogami prowadzi Bóg dusze ludzkie ku Sobie.

Spotykamy się często z czynami ludzkimi, których nie jesteśmy w stanie zrozumieć, i które według naszych ziemskich sądów są temu rozumowi przeciwne. Nie rozumiemy ich. I pozostaje nam do wyboru albo je potępić, ponieważ przemierzone niejako do naszych pojęć i norm, które nazywamy słusznymi, są paradoksalne, albo jeżeli danemu nam jest dostrzec w nich powiew czegoś wyższego niż nasz rozum, Wielką Tajemnicę ingerencji Bożej — wyznać z pokorą — nie rozumiemy ale czuje, ale dostrzegam działanie Łaski Bożej.

W jaki sposób można czymś innym niż powołaniem przez Boga wyjaśnić fakt wstępowania do klasztorów kontemplacyjnych młodych, pełnych uroku i życia dziewcząt lub mężczyzn? Ludzie ci zamknięci w murach klasztorów rezygnują przecież z góry z wszelkich powabów życia, z możliwości osiągnięcia szczęścia osobistego na ziemi, z zadania założenia Rodziny. Kobiety te a priori odmawiają wypełnienia ich przyrodzonego obowiązku — macierzyństwa. A jednak wiele spośród nich dochodzi do świętości. Czy to znaczy, że na leży zachęcać wszystkie religijne kobiety aby wstępowywały do klasztoru? Na pewno nie. To znaczy tylko, że kobiety te nie miały wyboru, po prostu dla nich było rzeczą jasną i oczywistą, że ich miejsce jest właśnie tam a nie gdzie indziej, że to jest ich właściwa droga. Dusza każdej z nich musiała zostać dotknięta łaską zrozumienia swojej roli przydanej jej przez Boga. Tak On chciał, jej pozostało słu-

chać. Motywem naczelnym ich postępowania była pokora i zupełne poddanie się woli Bożej.

„Czynny udział w walce jest koniecznością mojej duszy — pisze łączniczka ze Starego Miasta. Wierzę w Boga. Wierzę, że bez Jego wiedzy włos mi z głowy nie spadnie. Wiem jaka mimo wiary, Twej miłości, mojej miłości — słaba jestem. Dlatego Bóg wie co robi”.

Słowa te mówią same za siebie. Kobieta, która je pisała wiedziała, że zginie a jednak pełna pokory, przyjęła wyrok. Nie ma tu nic z postawy nieprzemysłanej, nic z im pulsu chwili, co więcej nic z wyzywania Boga. Jest tylko głęboka wiara i zupełne poddanie się woli Bożej.

Pisze Pani iż „nienajłatwiej znaleźć można usprawiedliwienie dla matki, która idzie przenosić mel-dunki, co może zrobić kilkunastoletni wyrostek a rzuca opiekę i wychowanie dzieci, w czym jej nikt na świecie zastąpić nie może”.

Znowu generalnie rzecz biorąc ma Pani absolutną rację, ale analizujemy dalej sprawę „Łączniczki Starego Miasta”.

Wymieniając szereg motywów które kierowały kobietami biorącymi udział w Powstaniu zapomnieliśmy o czynniku najważniejszym bo wpływającym najmocniej na jakież często lekkomyślne postępowanie tych kobiet. Był nim zupełny brak poczucia istotnego niebezpieczeństwa życia. Z małymi wyjątkami, wszystkie kobiety, które szły brać udział w Powstaniu albo wierzyły, że wrócą żywe albo nie myślały na ten temat w ogóle. Tymczasem omawiana łączniczka St. M. szła na pewną śmierć. Nie miała wątpliwości. Po prostu — wiedziała, że zginie. A jednak poszła. Zastanówmy się chwilę. To była młoda, śliczna kobieta, która nie miała w sobie nic z żołnierza, mało tego, fizycznie była tchórzem. Osiągnęła to, co po ludzku nazywa się największym szczęściem jakiego można doznać na ziemi, pełnię szczęścia osobistego. Miała dwoje ślicznych i kochanych dzieci i męża, którego kochała. Była szczęśliwa, absolutnie szczęśliwa — po ludzku. A jednak poszła na pewną śmierć. Nie na gorąco, ani w momencie podniecenia czy pod wpływem impulsu jak Pani sugeruje. Jej decyzja była świadoma. Wiedziała jasno dla czego i po co to robi. Przez ostatnie lata swojego życia rwała się ku Bogu, szła ku Niemu jakimiś przeogromnymi skokami, obserwowanymi przez ludzi jej bliskich nieomal, że z lękiem. Była przepełniona miłością Boga, która promieniowała z każdego jej słowa i czynu. Służyła Mu każdą myślą, każdym postępkim po przez służbę Rodzinie i Narodowi. I przyszedł moment próby, kiedy musiała wybrać pomiędzy spełnieniem swojego największego obowiązku naturalnego — opieką nad dziećmi, a dowiedzeniem czynnem słów swoich wzywających do pełnej 100 proc. ufności Bogu, który ją wzywał przez czynną służbę dla Swojego Narodu.

„Decyzja wzięcia udziału w powstaniu, była wynikiem mego nastawienia pracy i wiary. Do siebie zastosowałam taką miarę, jak ją stosują do ludzi, za słowami musi stać czyn — pisze.

„Bóg jest cudownie mądry, Dobry i zna nas najlepiej. Wierzę Mu — poddajmy się Jego woli, nie na 99 proc. ale na 100 proc. — i działajmy, rwijmy się do Niego — bądźmy szaleni wierząc, że mi mo błędów naszych, kiedyś nas tych szalonych, skrwawionych wysiłkiem do Swego serca przytuli”.

felieton

„S Ł A W A”

Poszedłem kiedyś na stadion pływacki. Przedstawiono mi kilka panom. Nie znaliśmy się jeszcze bliżej, więc jako jedyny temat, po omówieniu pogody — pozostała wojna. Niespodziewanie przeszliśmy od błażej pogawarki do tonów dostojnych i sztywnych. Głośnik chrząknął Piosenkę o mojej Warszawie. Chłopcy kopali opodał piłkę. Po chwili część towarzystwa poszła się kąpać. Pozostaliśmy we trójkę — przed chwilą poznana dziewczyna, wyciągnięta na trawie i osłaniająca ręką oczy od blasku i mój przyjaciel Leos. Znałem go dobrze i wiele chwil spędziłem razem podczas wojny. Teraz nie poznawałem go. Zapamiętał się. Pióro jakieś trele morele. Gdybyż to były przechwałki konspiracyjne. Ale nie. Uderzył w najwyższy i najfałszywszy ton cierpienia.

Dał swój niedługi pobyt w więzieniu. Dał swoją nieznaczną kontuzję. Roznamietnił się, wyliczając straty rodzinne. Nasza towarzyszka zrobiła nieznaczny ruch zniecierpli-

wienia. Nie odzywała się zresztą. Nie zauważył. Natomiast ja spostrzegłem na jej ręku niechlujnie atramentem napuszczony napis. Wysoka, kilkunastofcowa liczba. Leos gadał dalej. Spoglądałem na ten szereg cyfr myśląc, o ile mocniej i spokojniej, o ile prawdziwiej one mówią. Tego nieraz nie można powiedzieć słowami i nic nie znaczące znaki nielubiących kartotek spełniają rolę mowy o wiele lepszej. Było mi przykro za Leona, za siebie... Poderwałem się i obcesowo zaproponowałem kąpiel. Leon zrobił niechętny gest, ale paniuszka wstała i szybko ruszyła w stronę basenu.

Potem Leon zwracał mi uwagę, że przerwałem mu w pół zdania. Ze byłem nieprzyjemny i niewychowany. Ze obraziłem ją... bo ją bardzo interesowało. Dał w końcu do zrozumienia, że panna mu się bardzo podoba...

Więc dlatego?... I w ten sposób?

To nie jest już sprawa materialnej biedy. Bładołenie nad utratą dóbr

doczesnych wywodzi się z dobrze pojętego interesu osobistego. Jeszcze ujdzie, gdy w ciepłym, przytulnym mieszkaniu robi się seanse spirytystyczne byłych mebli i byłych pieniędzy. Pół biedy, gdy przynajmniej raz w tygodniu bliźni bawią się w jakże modną zabawę — przeliczanie cen przedwojennych i obecnych — naturalnie w porównaniu do plac.

Ale w sprawie t. zw. przeżyto osobistych, cała rzecz przedstawia się inaczej. Tu chodzi — powiedzmy — o pewną postawę...

No po prostu — tego nie liczy się na metry i nie wazy na kilogramy. To są sprawy doprawdy trudne i nieraz nie dające się po prostu opowiedzieć. Znaki i przedmioty mają swoje poczucie faktu: mówią tylko tyle, ile trzeba. I nie za głośno.

Są ludzie, którzy tyle przeżyli i którzy nie bębnia o tym na lewo i prawo. Tacy ludzie mogą zawsze znajdować się wśród tych, których zmuszamy do słuchania naszych białd. Może by warto o tym pamiętać.

Krzysztof R. Gawro

Słowa te pisane były przez nią w dzień pójścia na Powstanie. Przebieg mogła się była wycofać. Mąż jej był nieobecny, przyjaciele przebież jej decyzją, odmawiali ją, jak umieli. Była nieustępliwa. „Muszę iść“ powtarzała. Wybrała. Świadomość poszła złożyć w ofierze Bogu to co miała najdroższego. To jest istotne. Nie o życie tu chodzi. Tym szafuje się często — bezmyślnie. Ale ofiarować swoje szczęście

doczesne ale pełne, cudowne, szczęście na ołtarzu miłości Boga — na to trzeba było być zespolonym z Nim tak głęboko i doskonałe jak była „Łączniczka ze Starego Miasta“. W postępowaniu Jej było więcej, niż w decyzji wspomnianych uprzednio zakonnic. Tam bo wiem jest rezygnacja tylko z możliwości, a tu nastąpiła ofiara stanu osiągniętego. Co za szalona siła heroizmu tkwiła w tej kobiecie, co

za płomienna miłość płonęła w Jej sercu, co za bezkompromisowa wiara kierowała Jej krokami.

„Kocham Boga — Wierzę Mu. On mi da przydział, przy sobie czy przy Tobie. Niech się stanie wola Jego“.

Oto wyraz Jej pokory. Wmyślił się w Jej słowa, spróbujmy odczuć ogrom Jej duszy. Nie starajmy się naszym ludzkim rozumem, miarami naszymi ziemskimi mierzyć Jej drogi ku Temu,

który ją do siebie powołał. My wszyscy, którzyśmy znali ostatnie lata Łączniczki Starego Miasta wierzymy, że byliśmy świadkami czegoś jedyne go może w naszym życiu, że danym nam było widzieć duszę, która wyrosła ponad nasze rozumienie, bo zespoliła się ze swoim Stwórcą. Nie zaprzeczajmy Bogu przez świadome niedostrzeżenie płomiennych przykła dów Jego istnienia.

Wanda Olechowska

W Świecie...

BLOK ZACHODNI

Konferencja przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji i Beneluxu w Brukseli zakończona została opracowaniem układu konstytuującego związek państw Europy Zachodniej. Układ zawiera klauzule gospodarcze, socjalne, kulturalne i wojskowe; przewidziany jest na okres lat 50-ciu. Musi być jeszcze zatwierdzony przez zainteresowane rządy pięciu państw. Chodzą pogłoski o zamierzonym przystąpieniu Włoch do tego świeżo skonstruowanego bloku zachodniego.

KONFERENCJA

„MARSHALLOWSKA“

W Paryżu rozpoczęły się obrady szesnastu państw objętych planem Marshalla. Plan ten nabrał wreszcie pewnych rumieńców prawdopodobieństwa, gdyż Senat USA po przeszło dwóch miesiącach obrad uchwalił t. zw. „Plan dla Odbudowy Europy“ 69 głosami przeciw 17. Upoważnia on rząd USA do wyasygnowania 5 miliardów 300 milionów dolarów na okres 12 miesięcy dla 16 krajów Europy. Zużycie tych sum ma być kontrolowane przez specjalnych delegatów rządu USA.

Pierwszą uchwałą zapadła w Paryżu było zaproszenie Niemiec Zachodnich do udziału w pracach konferencji, gdyż jak powiedział główny projektodawca tego wniosku Bevin „nie ma odbudowy Niemiec bez odbudowy Europy“. — Tego rodzaju postawienie sprawy jest niestety mocno niepokojące. Odbudowa Niemiec winna być późnym rezultatem odbudowy i siły reszty Europy. Niemcy wzmacniane przez innymi, przed swymi ofiarami, a nawet równoległe do swych ofiar — łatwo mogą się stać agresorami. Tego niebezpieczeństwa nie czuje Ameryka, ale rozumieją kraje Europy. Jeśli Francja et cons. głosowała za wnioskiem równouprawniającym, a nawet faworyzującym Niemcy, to znak iż korzyści krótkoterminowe pieniężne przełożyła nad długoterminowe bezpieczeństwo własnego narodu i kraju.

ZACHÓD I WSCHÓD

Prezydent Truman wygłosił mowę o polityce USA pełną bardzo mocnych akcentów anty-radzieckich, obarczającą ZSRR winą za obecne napięcie stosunków międzynarodowych na świecie. Truman domagał się wprowadzenia z powrotem obowiązkowej służby wojskowej.

W Moskwie ogłoszono uchwałę Rady Najwyższej ZSRR zarządzającą demobilizację wszystkich pozostałych jeszcze w armii starszych roczników. Demobilizacja ukończona będzie w marcu b. r. Po tym czasie armia radziecka składać się będzie w zasadzie z dwóch roczników: 1926 i 27 odbywających normalną służbę wojskową.

Jan Walczak

POMIĘDZY POLSKĄ A ROSJĄ

I.

Zagadnienie stosunku dziejowego Polski i Rosji wciąż pod rozmaitymi postaciami wraca na łamy naszej publicystyki. Zagadnienie tragiczne i równocześnie zagadkowe, zagadnienie nie pełne dziwnych paradoksów, a równocześnie jakby jakiegoś fatum, które nad nim zawisło, powodując wciąż — w ciągu ubiegłych wieków — przegrody między obu narodami.

W wypowiedziach publicznych, w dyskusjach publicystycznych sporo wciąż rozmaitych twierdzeń, które wymagają pewnego wyjaśnienia. Przed jakimś półrokiem, słyszałem wypowiedziane z ust miarodajnych zdanie, że obecnie nic już nie stoi na przeszkodzie zgodzie między narodem polskim a rosyjskim, gdyż Polska przestała być „narodem panów“... Zatem ta „pańskość“ Polski była tu główną przeszkodą pojednania? W ciekawej dyskusji na marginesie artykułu Dąbrowskiej „O przewietrzeniu historii“, C. Bobińska zakwestionowała na łamach „Odrodzenia“ misję cywilizacyjną Polski na Wschodzie, postawiła znak zapytania nad demokratycznością naszego ustroju w XVI — XVII w., przyrównując metody królów polskich na krzesach do nowoczesnych metod kolonialnych epoki imperia lizmu i kapitalizmu.

Szukanie paralel historycznych dla obecnego pojednania polsko-rosyjskiego prowadzi też do różnych paradoksów. Zamiast szukać antenatów między demokratami rosyjskimi i polskimi poszukującymi zgody wzajemnej w XIX w., szuka się ich wśród dawnych rusofilów polskich. Wyciągnięto więc z lamusa Wielopolskiego, jakieś pismo zaatakowało hurmem powstanie 1863 i wszystkie inne powstania (co spotkało się z rychłą odpowiedzią... „Kuźnicy“) — małuczko, a odbronowano ją samą Targowicę... Między potępieniem romantyzmu i nakazem realizmu w chwili obecnej, a potępieniem tego samego realizmu i pochwałą romantycznego zrywu w przeszłości istnieje jakaś niewspółmierność — zwracano na to uwagę i na łamach „Dziś i Jutro“ — wydająca się nawet czasem zakłamaniem. Wszystko to więc wymaga głębszej analizy tych zagadnień.

II.

Gdzie jest źródło bezspornej długoletniej wzajemnej niechęci narodowej? Nie ma organicznych niechęci, wszystkie one płyną z takiego, czy innego układu wzajemnych stosunków. Animozja do Szwedów tak żywa jeszcze w okresie Wojny Północnej — ona węgnała wielu prostacków do obozu Augusta II dla obrony kraju przeciw Szwedom (vide Kurpie i Stach Konwa) — dziś przeszła w obopólną sympatię. Nienawiść do Turka przemieniła się już w połowie XIX w., w epoce, gdy krążył po Wschodzie Z. Miłkowski — T. T. Jez, w szczerą przyjaźń. Jakże warunki wytworzyły nieufność polsko - rosyjską?

Warunki to bardzo skomplikowane i nieraz paradoksalne. U początków zetknięcia się Polski z Rosją, z któ-

rej wyłoniła się potem Ruś Kijowska, Moskwa itd., nie istniały większe sympatie, czy antypatie niż między innymi sąsiadami, między Polską a Czechami, Polską a Węgrami, czy Polską a Litwinami. Atoli, gdzie już u zarania ery nowożytnej z obu stron powstają pewne zarzewia niechęci. Nie płyną one z obcości etnicznej, ani z obcości charakterów, czy języka jak równocześnie powstający antagonizm narodowy polsko - niemiecki. Nie. Wszystko to było bliższe: język, charakter.

Nie doceniamy dziś późnej fali nienawiści między prawosławiem, a Kościołem rzymsko - katolickim w średniowieczu. „Fides graeca“ to określenie pełne nienawiści do prawosławia. Mnisi greccy w Konstantynopolu woleli Turków wpuścić do bram miasta niż łacińskich genueńczyków. Katolicka Polska z góry patrzyła na prawosławną Ruś, prawosławną Ruś patrzyła przez pryzmat wpajany przez schizmatycznych mnichów na łacińską Polskę.

W epoce nowożytnej doszły tu różnice ustrojowe. Polska była może „szlachecką demokracją“, ale dla tej masy szlacheckiej istniała wolność, swobody, przywileje. Być może, że ta demokratyczna szlachta uciskała chłopów nie gorzej, niż pozostająca pod butem cara szlachta rosyjska, ale w ówczesnym pojęciu ta szlachetka demokracja była ustrojem zaawansowanym politycznie, tak samo, jak były nimi oligarchiczne demokracje: wenecka, czy holenderska, jak była nią mieszczańska amerykańska w XVIII w. Ten postępowy charakter ustroju Polski wysuwają wszyscy pisarze polityczni Europy od XVI do Rousseau i Małbylego w XVIII w.

Tę wyższość ustroju Polski nad despotyzmem carskim rozumiano w Polsce i ona przyczyniała się do głębokiej nieufności wobec tyranii wschodniej. Ba, z tej wyższości ustrojowej zdawano sobie sprawę i w Moskwie. W r. 1648 wybuchł bunt w Moskwie: „bojarowie horodowi, strzelcy i mieszcianie bunt podnieśli nie chcąc pozwolić na wojnę z Polską i prosząc cara o takie swobody, jakie mieli Polacy“ (Kubala). Widzimy więc, że w narodzie rosyjskim nie było niechęci do Polski; ze strony polskiej nie brakło też chęci do zgody: wysłany na rokowania do Moskwy wojewoda Kisiel występował za zgodą obu narodów, które „jak dwa cedry Libanu wyszły z jednego korzenia, z jednego rodu słowiańskiego“.

Atoli paradoksalność stosunków polsko - rosyjskich polegała na tym, że podczas gdy tam na północy Polacy reprezentowali wolności a Moskwa despotyzm i Rosjanie stawali przed carem Polskę, jako przykład wolności, to na południu było inaczej. Tam Polska nie była symbolem wolności. Dla chłopów ukraińskiego, dla kozaka, Polska w XVII i XVIII w. była symbolem ucisku i niewoli. Tutaj Bobińska ma rację. Metody królów polskich odciśnieły się na stosunku Ukraińców do Polaków. Polska była tu krajem „panów“, krajem niewoli chłop-

skiej wobec eksperymentu demokracji kozacko - chłopskiej Chmielnickiego. I aczkolwiek Ukraińcy nie byli i nie są Rosjanami, to jednak nie zapominajmy, że są oni sobie bliżsi mową, kulturą, a przede wszystkim tak na Wschodzie wiążącym wyznaniem. I pojęcie „pańskiej“ Polski prześladowanej prawosławnych Ukraińców, nie dopuszcza jącej prawosławnych biskupów do senatu, przenikało do despotycznej, ale również prawosławnej Moskwy. Tworzył się więc jakiś dziwny spłot wzajemnych nieporozumień, niechęci i nieufności, z przeciwstawnych sobie przyczyn oparty, ale tym niemniej przenikający do psychiki szerokich mas obu narodów, co spotęgowane jeszcze było w wieku XVIII.

III.

Interwencje carskie w sprawę Polski, udział Rosji Carskiej w rozbiorach Polski, wojny przeciw Polsce toczone przez wojska carskie wszystko to nagromadzić musiało ładunek niechęci między obu narodami, tak jak wojny polsko - szwedzkie, czy polsko - tureckie w XVII wieku na długie lata wyhodowały animozję do Szweda i Turka. Była to animozja głęboka, a źródła której leżała niechęć polskiej miłości wolności do despotyzmu Carskiej Rosji. Nie była to więc niechęć narodowa, przeciwnie nawet miano współczucie dla uciskanego narodu rosyjskiego, który chciano wyzwolić z pęt despotyzmu i spod niemieckiej biurokracji dworskiej. „Gdyby siły węgierskie i polskie połączyły się dla obrony wspólnej sprawy wolności, to już zaiste runęłaby pycha austriackiego panowania ciężka obu narodom i całemu światu. Liczymy, że i ludy rosyjskie uciśnione przez rozpanoszoną u nich faksję austriacką i niemieckie ministerstwo odważą się coś u siebie przedsięwziąć“ (Solowjew, Histor. Ros. IV, 1323 — 1324) — pisał w r. 1734 wojewoda Jan Tarło. „Oświadczamy się więc wojskom rosyjskim i stanom państw moskiewskich, inflanckich, kozackich i kałmuckich, iż zdawna społeczność narodu słowiańskiego sprzymierza (nas) i łączy...“ — ogłaszali w manifestie konfederacji Barscy do Rosjan (1768). Była to zapowiedź „za naszą wolność i Waszą“. Dla Polaków XVIII w., konfederatów, patriotów, barzan — walka z caryzmem była to walka o wolność z tą świadomością szli do walki.

Atoli dziwna paradoksalność polsko-rosyjskich stosunków spowodowała, że gdy ze strony polskiej patrzono na stosunki polsko-rosyjskie przez pryzmat walki polskiego umiłowania wolności z carskim despotyzmem, to i strona rosyjska zabarwiała swe interwencyjne w Polsce wystąpienia również i dążeniem do zabezpieczenia wolności. W Polsce niby panowała wolność, ale wyłącznie na korzyść możnowładców — ta teza już w XVIII w. wysunięta była przez najwyższe czynniki carskiej Rosji, którym nie omieszkało wtórować przedstawiciele zachodnio-europejskiego oświecenia jak Voltaire i Alembert. Polaków przed-

stawiano jako barbarzyńców, prześladowujących innowierców, a wkraczające wojska carskie określono jako wybawicieli spod polskiej tyranii. Rzeczywiście pełno było paradoksów: Konfederaci barscy zerwali się do walki o wolność, a równocześnie bunt Gonty i Żelaźniaka dowiódł, ile siły posiada opór ludu ukraińskiego, przeciw szlachcie, jak głęboko i nie bez powodu zakorzeniona jest niechęć ludu ruskiego do Polaków. Sejm Czteroletni uchwalał wielkie prawa wolnościowe, a równocześnie w r. 1789 znów poskramić trzeba opór ludności ukraińskiej na Wołyniu, znów mamy „pacyfikację“¹⁾. Gdzież więc, przy kim jest wolność? Konfederata barski, czy żołnierz polski spod Dubienki wierzy, że on jest chorążyem wolności w walce przeciw despotyzmowi — żołnierz rosyjski wierzy, że on idzie wyzwalać swych plemieńców spod polskiego pana. Wolność, wolność, gdzie jest ta wolność? Spłot, paradoksów, dziwne zagmatwanie pojęć, tragiczne fatum niedomówień wyciska wciąż swe piętno na polsko-rosyjskich stosunkach.

IV

O ile jednak w okresach poprzednich nawet ruch wolnościowy Polski mógł mieć „pańskie“ zabarwienie, co powodować mogło całą konfuzję pojęć i odbić się na stosunku narodu polskiego do rosyjskiego, o tyle u schyłku XVIII w. Polska wchodzi w krąg rewolucji o zdecydowanym obliczu klasowym. Rewolucja Kościuszkowska wysuwając hasło wolności nie tylko mieszczaństwa ale i chłopów stawia Polskę w pierwszym rzędzie walk o wolność i demokrację. Polska nie jest już symbolem „pańskości“ — staje się symbolem rewolucji „jakobinizmu“, najdalej na Wschód wysuniętą placówką idei zrodzonej w ogniu walk o Bastylię. Płomień rewolucji z Polski mógł się rozszerzyć i na inne kraje, pobudzić mieszczań, chłopów i robotników innych krajów do oporu przeciw swojej szlachcie, przeciw uciskowi władzy. To, że Polska może się stać zarzewiem wolności wywołuje nie tylko niepokój u sąsiadów, ale wywołuje i potok nienawiści przeciw „jakobińskiej“ Polsce. Nienawiść ta jest najsilniejsza w zgermanizowanych, zazdrośnych o swe klasowe interesy w sferach rządzących carskiej Rosji. „Vous voulez que je ne m'occupe que de la jacobinisme de Paris? Non, je la battrais et combattrais en Pollogne“ — pisała Katarzyna do Grima. A 25 listopada 1794 kanclerz Bezbordko otwarcie pisał do Repnina, że między przyczynami rozbioru Polski jest „wolność włościan i tym podobne rzeczy mogące podraż-

1) W r. 1781 podróżujący po pograniczu polsko - rosyjskim cudzoziemiec zauważył w Nadnieprzu „że z polskiej Ukrainy całe gromady do Siczy na nowosiedlcy przychodzą“ (Korzon I 373). Równocześnie wszak że Siewers, będący wówczas gubernatorem na polskim pograniczu, do nosił, że szlachta rosyjska tak ciemiężył chłopów rosyjskiego, że „tysiące zbierog rosyjskich zapelnia Litwę i Polskę“, gdzie więc było ciemiężenie chłopów?

Nowość! Nowość!

PISMO ŚWIĘTE Nowego Testamentu

Wstęp, nowy przekład
z Wulgaty komentarz

przez

Ws. Eugenjusza Dąbrowskiego

Wydanie podręczne

Albertinum

Księgarnia św Wojciecha
Poznań - Warszawa - Lublin

nić naszych wleśniaków...“ (Russkij Archiw 1873, str. 478).

Revolucja chciała poruszyć chłopów krajów sąsiednich, co się nie powiodło i wywołało tylko niechęć sfer rządzących do Polski, rozsadnika rewolucji. Rzecz ciekawa, że niechęć ta udzielała się poddanym. Lud był ciemny, wierzył, że idzie walczyć dla cara-batuszki przeciw polskiemu „mlateźnikom“. Nie wiedział, że ci mlateźnicy chcą mu przynieść wolność. Między Polską a Rosją wytwarzał się przedział dwóch światów, dwóch kultur, dwóch poglądów na świat — przedział ten zarażał i oba narody. Ale nie wolno było, że niechęć była do Polski, bo Polska była „pańska“. Nie, niechęć była, bo Polska była czerwona, rewolucyjna a ciemny chłop ślepo wierzył w kłamstwa mu wmawiane przez nienawidzących Polski i rewolucji wysokich urzędników, bojących się o swe klasowe interesy.

Tak samo było i w epoce Królestwa Kongresowego. Królestwo Kongresowe było krajem z włością ustrojem usamowolnionym, z ustrojem konstytucyjnym, wolnościowym, stanowiącym wówczas symbol demokracji zdobyczy. Nic dziwnego, że zyskało ono nienawiść wszystkich reakcyjnych żywiołów Rosji

carskiej, całej zazdrosnej o swe prawa Kamarylli dworskiej. Polska dla nich była symbolem liberalizmu, idei rewolucyjnych. Bano się, że Królestwo zaraz tymi ideami Rosję. Znow więc momenty ideowe, ustroje wkładają się między Polskę a Rosję, umożliwiającą zgodną współpracę i wzajemne zaufanie. Ale nie dlatego, że Polska jest „pańska“, tylko dlatego, że reprezentuje na ówczesne czasy postęp ustrojowy, nowe idee.

Jeszcze silniej występuje to w walkach i rewolucjach XIX wieku. Polska utożsamia się z ideą wolności, Rosja Carska staje się żandarem Europy, więzieniem narodów, symbolem ucisku narodowego, politycznego i społecznego. Gdy Polacy walczyli o wolność Francji, Włoch, Węgier, Belgii — żołnierz rosyjski — jak to podkreślał Lenin w jednym ze swych szkiców — szedł na rozkaz cara ciemnić Polaków czy Węgrów, interweniował w wewnętrzne sprawy Turcji czy Persji. Marx, Engels — wszyscy oni uważali Polaków za awangardę nowej Europy.

Nagromadzony przez stuletnią przeszłość walkę z carem materiał zapalny kierował się przeciw caratowi, ale powoli przechodził i w niechęć do narodu, który biernie zu-

pełnie daje się wykorzystywać przez carat przeciw wszystkim ruchom rewolucyjnym świata. Nie widziano ze strony rosyjskiej dążenia do zerwania jarzma. Próby z dekabrystami nie powiodły się. Szlachetne jednostki jak Potiebnia i Herzen należały do wyjątków. Wytwarzało się pojęcie, że tyrania, absolutyzm są to formy właściwe, odpowiadające ludowi rosyjskiemu.

Rzecz ciekawa, tak jak oboz polskiej Demokracji, rewolucjonści polscy patrzyli z niechęcią na Rosję carską jako na symbol niewoli, ucisku, tyranii — o tyle, prawem przeciwieństwa, Rosja carska zaczęła przyciągać elementy konserwatywne, właśnie w niej ceniono umiar, hierarchię, tradycję, siłę, niechęć do nowinek wolnościowych. Od XVIII wieku, do Targowicy poprzez Lubbeckiego i Wielopolskiego aż do Erazma Piltza, Spasowicza i obóz prawicy obraca się ku Rosji w niej widząc zbawienie — pierw przeciw „jakobinizmowi“, potem przeciw „liberalizmowi“, a wreszcie przeciw socjalizmowi. U Dmowskiego było to przede wszystkim uzasadnione całą jego zachodnią ideologią, koncepcjami słowniastymi, nastawieniem antyniemieckim, ale u ludzi z „krajem“ petersburskiego płynęło to

przede wszystkim z obawy przed rewolucją. Uwidoczniło się to w 1905 roku.

Ciągła paradoksalność polsko-rosyjskich stosunków powoduje, że na wet w tym okresie, w XIX w. Polacy walczyli o wolność, nienawidzi carskiej tyrańskiej Rosji i jej żołądków, żołnierz rosyjski kocha batuszkę-Cara i nienawidził podłych Polaków — mlateźników, ale równocześnie — za Aleksandra II — nie brak i ze strony Rosji prób nadania jej stanowiska ideowego, wolnościowego oblicza. I ta tendencja zapuszcza pewne korzenie. Przyczyną tego jest jednostronne klasowe nastawienie polskich powstań w XIX w., nie załatwienie sprawy włościńskiej. Linia rewolucyjna rzucona przez Manifest Połaniecki załamała się. Chłopów wyzwolił Car Aleksander II. Nic dziwnego, że pewne koła pseudo-liberalne rosyjskie używały wtedy terminologii zupełnie rewolucyjnej; gdy czytamy dziś publikacje, z epoki Milutina pełne inwektyw na „pańską“ Polskę i słów współczucia i zrozumienia dla dolnej klasy, pełne wyrażań zaczerpniętych ze słownika „Narodnej Woli“ (zresztą cały szereg rewolucjonistów utrzymywało przez pewien czas kontakt z chłopomanami urzędowymi) — to rozumie-

my, że mimo tego, że Polacy ginęli na barykadach w walce komuny paryskiej, to tu, na miejscu byli wciąż synonimem „panów“. Zagadnienia ustrojowe nie tu nie znaczą. Niektóre koła rewolucyjne rosyjskie spod znaku narodnicztwa nienawidziły idei zachodnio-europejskich („zgnili zachód“) na równi z „najczarniejszą“ reakcją. W tym tragicznym kontrodisie, w tym splocie niedomówień znow nie mogli znaleźć wspólnego języka naród polski i rosyjski.

O dalszej historii stosunków polsko-rosyjskich, o sytuacji powstałej w wyniku drugiej wojny światowej pisano w „Dziś i Jutro“ wielokrotnie. Jeśli cofniemy się do tak dawnych czasów, to poto, by znaleźć jeszcze jeden argument dla naszej zasadniczej tezy. Nie wolno tolerować wrodzonych nienawiści, nie wolno uznawać organicznych niechęci. Trzeba natomiast spozostreć i doznać antagonizmy wytworzone przez warunki przez konflikty interesów. Nowe warunki winny te antagonizmy zlikwidować. Jest rzeczą umięjętnego oddziaływania obu stron, troszczyć się o ten proces.

Jan Walczak.

PRZEGLĄD TYGODNIKÓW

Jeden z naszych przyjaciół Jan Sowa umieścił w „Tygodniku Warszawskim“ felieton dawno zapomniany, a zasługujący na to, żeby przypomnieć go dzisiaj w związku z niezwykle potrzebną i cenną wypowiedzią ks. Sprusińskiego. Artykuł noszący tytuł: „W otoczeniu nowych ludzi“ zawiera opis autentycznego zdarzenia, które powinno się wielokrotnie w ciągu świąt powtórzyć.

Przytaczamy je wraz z komentarzem:

„Przy stole powstała sprzeczka. Dwoje młodych odmówiło picia wódki z przyczyn zawodowych. Ona ćwiczy tańce akrobatyczne w szkole baletowej i ma niedługo wystąpić. — on od sześciu tygodni lata na szybowcu, jeszcze wczoraj holował go na linie wielki ćwiczebny samolot.

Z początku wszyscy próbowali wklepić i zmusić do wzięcia udziału w libacji. Padają najgłośniejsze argumenty, te z okresu lat międzywojennych o męskości, o krzepie, o wdzięku, przy tym cytowano nazwiska panien pijących na umór i lotników przeważnie już martwych.

— Ze pill dużo, a przecież...

— Nie, moi państwo to przesąd. Pokażcie nam tych ludzi dzisiaj albo po dziesięciu latach — wtedy będziemy gadać.

Tak brzmiała pierwsza odpowiedź. Potem przyszły dalsze wyrzucenia. Najdziwniejsze było to, że ci dwoje wcale się przedtem nie znali, nie mogli więc zawczasu uzgodnić swoich poglądów w tej sprawie. Przez pewien czas przysuchiwałem się z boku tej bardzo zażartej dyskusji — dziś muszę ją opowiedzieć:

Koło ślicznej dziewczyny tłoczyły się utlenione miejskie kobiety, zużyte i odrażające, mężczyźni o podpuchniętych oczach, czerwono nalani od wódki. Ci wyznawcy Bachusa i Djonizosa raptem poczuli się... urażeni. Najgłośniejszą spośród obyczajowych konwencji została nagle złamana, ktoś ośmielił się zakwestionować bzdurę. Ludzie powietrza i lotu odrywający się całym wysiłkiem od ziemi, publicznie powiedzieli: nie — i na to nie było sposobu. W ataku, jaki potem nastąpił wyczułem obłąkaną zazdrość — zazdrość o siłę życiową!

Te panie, które ją namawiały do picia czyniły tak nie tylko z zamiaru fałszywie pojętej gościnności (bardzo starożytnego pokroju). Gdybyście widzieli jak one przyglądały się jej ślicznej cerze i oczom niepodkrażonym! Pragnienie ściągnięcia tej młodej dziewczyny do poziomu ruin podświadomości tu dominowało. No tak — była ładniejsza od nich. Była bardzo świeża i co najgroźniejsze pragnęła taką pozostać. To wywołało niepokój w klubie obrzędowej wątroby. Najgroźniej protestowały ofiary defektów nerkowych i lysurki z wielkimi bruchami. Instynktowna potrzeba równania w dół wielka była w tym gronie wielbicielei

rekordu spirytusowego. Dlaczego inni nie mają tak samo wyglądać.

Ten młodzik ze szkoły szybowcowej, najbardziej mi się podobał bo kiedy zaczęli sobie z niego kpić, wsiadł na nich od razu jak na tyse konie.

— Wiemy dlaczego chcecie żeby wódka zatruła nam krew!

Dalszego ciągu nie śmiem już nawet powtórzyć. Nowy gatunek pogardy doszedł tu do głosu, refleksje były daleko idące, nie obeszło się bez analogii... Towarzystwo troszeczkę zrażone zaczęło spoglądać na nas z podębą, jakby na sekciarzy. Wtedy usiedliśmy sobie w kąci i oboje uzasadniali mi swój głośno wyrażony sprzeciw.

Dowiedziałem się, że przy lataniu na szybowcach najważniejszą rzeczą jest wykształcenie w sobie nieomylnego zmysłu równowagi, koniecznej także przy wykonywaniu tanecznego saltu (w tył przez głowę).

— Jesteśmy w treningu powiedzieli mi. Nie będziemy obniżali naszych wyników dla kieszka wódki. Oni niech sobie piją. Z tych ludzi i tak już nic nie będzie.

Z tego cośmy mówili wynikało, że wszystko cokolwiek osłabia naszą pasję tworczą, winno być odrzucone ze wstrętem jako obrzydliwość. Gdyby nam ktoś wczoraj powiedział, że stosunek do alkoholu może podzielić ludzi na dwa obrażone oboje, nie wiedzielibyśmy dokładnie na czym polega ów podział. Teraz dopiero przejrzałem ów zatechły mechanizm. Chęć pogrążenia wszystkich w atmosferę mgły widocznie dominuje w tego rodzaju środowiskach obarczonych dekadentem kompleksem schyłkowej psychozy mieszczańskiej. Atmosfera nihilizmu i czkawki pijackiej — to także straszne dziedzictwo, nowa postać dywersji społecznej.

Imieniny, o których tu opowiedziałem zakończyły się występami młodzieżowej tancerki na wielkim czerwonym dywanie. Kiedy zaczęła się błyskać i mienić, ulatując wysoko ku górze, astmatyczna ferajna szeroko otworzyła oczy. Potem dziwili się bardzo, że serce jej bije normalnie, że nie wygląda zmęczona i zgrzana.

— Niech pani jeszcze zostanie! — Mowy nie ma. Zadnego przesiadywania po nocach! To nie jest rodzaj życia odpowiedni dla nas.

Około 9-tej wyszliśmy, by zgodnie z zapowiedzią wcześniej powrócić do domu.

Jutro jest popis w szkole szybowcowej, gdzie stopniowo dojrzewa styl życia wytwarzający się na wysokościach. Bliżej nieba!

Tak. To pokolenie udaremnia zamach na swoją energię twórczą wysmieje dekadencję 19 wieku i przeciwstawi beznamiętnej psychozie użycia, zdolność planowego

gospodarowania swą siłą fizyczną i psychiczną.

Posłuchajmy teraz lekarza. Dr Jan Ross przytacza w „Tyg. Powszechnym“ fakty zaczerpnięte ze swojej praktyki codziennej. Warto się z nimi zapoznać:

„Wzywają mnie przed kilkoma tygodniami w nocy do chorego, który dostał nagle ataku szału. Przychodzę na miejsce i znajduję taki obraz: na łóżku leży młody człowiek, dwudziestokilkule lat i wydaje niesamowite krzyki — trzech mężczyzn przytrzymuje siłą szaleńca, w izbie nieład, sprzęty poprzewracane, jakby przeszedł tornado. Kilkanaście osób z sąsiedztwa stoi obok i patrzy na widok.

Przyczyną tego wszystkiego alkohol. Mamy tu do czynienia z przypadkiem tzw. upojenia patologicznego, kiedy nawet nieduże dawki alkoholu spowodują niekiedy stan ostrego zamroczenia, niebezpiecznego dla otoczenia, a równoznacznego z atakiem ostrego szału, z jakim spotykamy się u umysłowo chorych. Dawny takie przypadki należały do rzadkości, dzisiaj spotyka się je coraz częściej.

Od matki chorego dowiaduję się, że mąż jej zmarł w czasie wojny i był alkoholikiem. Starszy syn zginął w Oświęcimiu, pozostał młodszy, który stale się upija — próby i perswazje matki nic nie pomagają. Matka jest w rozpacz i laments swe tak kończy: Jednego zamordował Hitler, drugiego wykończy bimber.

Słowa tej prostej kobiety mają głębszy sens i warto nad nimi zastanowić się, gdy mówimy o skutkach alkoholu.

A teraz nieco statystyki.

W numerze 49 „Dziennika Polskiego“ (19. lutego 1947 r.) ukazał się komunikat: „33.000 ofiar katastrof samochodowych w Polsce“. Warto go przytoczyć w dosłownym brzmieniu: „Krakowski Oddział Zw. Zaw. Transportowców przeprowadził statystykę wypadków samochodowych. Okazało się, że od dnia 1 lutego 1946 do dnia 30 września 1946 r. w katastrofach samochodowych w Polsce zginęło około 33 tys. osób. Są to tylko wypadki śmiertelne na miejscu katastrof. Jako główne przyczyny wypadków podaje się: nietrzeźwość kierowców.“

Filozoficzne ujęcie interesującego nas tutaj problemu, przynosi „Słowo Powszechne“. W artykule zatytułowanym „Alkoholizm a kultura i sztuka“ — „Obserwator“ stwierdza co następuje:

„Alkoholizm jest faktem społecznym. Weszliśmy w fazę narokotycznej psychozy masowej. Społeczeństwo nasze zdradza wyraźny pęd do odurzania się, właściwy

wielu społeczeństwom europejskim.

Namiętności nie leczy się suchą perswazją. Fotografie powiększonych wątróbek nie tu nie pomagają. Każdy natóg powstaje na podłożu określonej reakcji nerwowej. Obserwujemy groźne zaburzenia. Sześcioltni kataklizm szaleje w nas dalej. Ruinom miast odpowiada poprzędający je zawsze obraz dekompozycji duchowej. Stąd właśnie wynika bezsilność argumentu filozoficznego. Lekarz może pijaka wystraszyć lecz spolegowanie leku zawsze pociąga za sobą ucieczkę od rzeczywistości i tęsknotę do narkotyku. Walka prowadzona ze złudną przyjemnością w żadnym razie nie może być przeraźliwa i nudna. Zerwać trzeba nareszcie z negacją. Kto mówi człowiekowi: nie pij, musi zapoikoić go szlachetniejszymi środkami. Kto wkracza w świat namiętności, winien im przeciwstawić wizję potężniejszego istnienia. Trzeba wleźć jakim duchowym skłonnościom odpowiada pragnienie narkozy. Niesposób tłumaczyć wszystkiego okupacyjnym zniszczeniem nerwowym.

Problem jest stary, jak świat, chwycimy go więc u korzenia.“

ŻYCIE JAKO EKSTAZA

Oto sens podświadomych pragnień — wewnętrzny nurt cywilizacji — zasadniczy kierunek dążenia. Wszystko cokolwiek czynimy, w tę stronę żywo się skłania. Nawet ustrój, żeby uwolnić ludzi od głodu i nędzy, dąży przez sprawiedliwość społeczną, ku życiu w stanie ustawicznego olśnienia zdobyciami najwyższej kultury. Kultura zaś jest zbiornikiem wzruszeń, które potęgują w nas świadomość bytu. Sztuka to uniesienie. Istotna funkcja nauki sprowadza się do wyważania coraz nowych postaci energii. Odkąd ujarzmiłmy wodę i wiatr, siły natury stały się częścią nas samych. Fizyki, docierający do wnętrza elektrycznego materii cóż zrobi. Wyzwała i ustokrotnia moc, która wibruje w jego organizmie. Żywe komórki naszych ciał sprzymierzone są ze światem atomów. Elektryczność towarzyszy życiu — może je nawet wyprzedza. Bóg nasz od zarań dziejów pojawiał się w blasku błyskawic.

Alkohol to nędzny surogat upojuć oczekujących człowieka na wyższych szczeblach istnienia. Co można zrobić aby osiągnąć wielkie upojenie? Stokroć mocniejsze niż wódka? Trwalsze i piękniejsze.

Edward Jastrząb dokonał w „Życiu literackim“ przeglądu wzru-

szek zespalających nas z rzeczywistością w sposób szczególnie istotny. Z tego punktu widzenia egzystencja jest hierarchią ekstazy. Przyjrzyjmy się im po kolei.

PRZESTRZEN UDERZA DO KRWI

Zapowiedź ekstazy kontynentalnej: Człowiek, przemierzający Europę w toku sześcioltniej wędrówki narodów wykształcił w sobie nowy zmysł życia w liczbie potęgującej i mnogiej, odnalazł pełnię przestrzeni, która kołysze się w nas, mówi o nieskończonej podróży, o chwilowym i krótkim postoju. Krew nasycy szybkością nowych samolotów, lądy przybliży i ścięsnia, wznagając w nas żywił ruchu — pragnienie, by kółka mogły się dalej obracać i toczyć w rytmie ekstazy kontynentalnej, jaką wyzwolono w pobliżu lotnisk, motorów i szos, przyszywających brzegi horyzontu.

Rzucony w otwarte niebo, człowiek dąży się jeszcze nadmiarem ogromu, rozplerające odległości szukają sobie ujścia w nim, wewnątrz odbywa się praca kształtowania nowego wymiaru. Egzystencja nasza doznała wyolbrzymienia.

ABY OGARNAĆ TEN ŚWIAT

Nieogarniona staje się nieoścność zmysłów. Dupleknie wszęchwiatowaty głód, chęć zamknięcia w sobie całego bezkresu, który wojna otworzyła, aby rozrastał się odurzająco w nas — oto jest czucie z rzeczywistością przypadające w udziale temu pokoleniu. Dol olbrzymia i wibrująca przenika w nas z każdym oddechem; ona codziennie uderza do krwi. Obecna w każdym doznaniu przestrzeni, pędzona przez fale elektromagnetyczne, śleła się nabrzmiewającą treścią wezbranego ciała — tchnieniem przesywanym i boskim, zmysłowo wyczuwalną ośnową tajemniczego procesu przemijania. Sprzymierzona z żywiołem szybkości przybliżyła ku nam wszystkie horyzonty, nadciągając z nową gwałtownością.

Moment wtargnięcia olbrzymich sklepień niebieskich w duchowe pole widzenia stał się faktem społecznym dopiero w latach ostatnich, kiedy masowy rozwój lotnictwa umożliwił setkom tysięcy ludzi codzienne obcowanie z wymiarem niedawno jeszcze dostępnym tylko dla fachowców i pasażerów bogatych.

W ruchu maszyn odkryliśmy pełny obrót ziemi, kulistą pełnię nie

bieską i nowy kształt widokregu. Nieskończoność dostrzeżona z samochodów i samolotów podziałła jak mocny narkotyk.

ZESPOLONIE PRZEZ RUCH

Przebywanie wciąż nowych przestrzeni jest namiętnością stulecia, w którym się lądy jednoczą. O co chodzi. O zespolenie przez ruch. Człowiek płynący w strumieniu kolumny zmotoryzowanej odkrywa w sobie nowy zmysł życia w liczbie mnogiej. Masa w zeknięciu z rozpalającą wewnętrznie szybkością — oto nowy element istnienia.

CIĄŻENIE KU ŚMIERCI

Moment porażenia człowieka rozsadzającym mu piersi ogromem, zbiegi się z chwilą najwyższego spotęgowania powietrznych niebezpieczeństw, z huraganowym obstrzałem z gwałtownym ciężeniem ku śmierci i z częstym upadkiem maszyn głęboko zarywających się w ziemię. Ow świsł samolotów nurkowych był metafizyczną pieśnią pokolenia. Z tego gwizdu i pędu, jak z melodii wynika manifest narzędzi, za których sprawą wtargnęliśmy w nieskończoność światła, powietrza i chmur, a jednak nie epatują one już futurystycznie wyobraźni ludzkiej, ich kult jest dziś anachronizmem, wprowadzono je bowiem do roli oczywistych środków, zdolnych poszerzać wymiary istnienia. Z chwilą, kiedy naiwny 19 wieczny, mit o panowaniu nad żywiołami, przestał organizować naszą uczuciowość — spostrzeżliśmy nagle, że infantylne upajanie się samym zjawiskiem szybkości, przesłoniło całemu pokoleniu twórców właściwy aspekt sprawy.

Generacja obecna interesuje się wyłącznie psychologiczną sytuacją, jaką z pędu błyskawicznego powstania. Przeżycia te nie są już przedmiotem naiwnego kultu same w sobie. Oswoił się z nimi na tyle, że „opiewanie“ ich byłoby staroświeczyzną, fałszem i anachronizmem. Doświadczenia podobne stanowią jedynie bazę wypadową. Widzimy w nich okoliczność potęgującą rozwój metafizycznych dyspozycji człowieka współczesnego.

Proces ten pozbawiony bezpośredniego precedensu w dziejach, z dnia na dzień przybiera na sile i chociaż kształtuje on dopiero religijną podświadomość ludów, wyzwolony w momencie właściwym osiągnięciu natężenia, przekraczające wszystko co utrwaliła historia. W tej chwili absorbuje nas tajemniczy charakter wszechświatowego zmysłu przestrzeni, który z żywiołową furją dojrzenia dziś na pograniczu niewyraźnego. Zmiana w sposobie widzenia i odległości przesyconej śmiercią i niebezpieczeństwem — ta zmiana jest rewelacją kosmiczną zdolną zrewołucjonizować religijne doznawanie świata. Okres dziecięcego uwielbienia przeżyć wywiezionych z technicznego patosu szybkości mamy poza sobą. Pierwotne upojenie sprawnością narzędzia nie przesłania już człowiekowi dalekonośnych i wiecznych perspektyw. W tej wojnie raz jeszcze z nową siłą poraził nas ogrom gwiazdzistej otchłani.

Ciemność wezbrana pod ziemią, przybliżyła się w stronę śmiertelnych i nieskończonych wymiarów. Tu właśnie — za sprawą tysięcy ognistej spadających maszyn, nastąpiło żywiołowe przemieszanie stref metafizycznych w świadomości, którą otworzyła śmierć na wysokościach, poszerzona o wymiar nieznaną. Ow pęd w głąb horyzontu złączył się z prześladowającym nas wielum widzeniem: Latami staliśmy w szeregu szturmującym grobowe ciemności. Olbrzymia część nas samych znalazła się w groźnym, odurzającym podglebiu i zstąpiła tam, gdzie nieprzerwanie wszyscy kolejno idziemy, ani na chwilę nie pozabawieni wewnętrznej łączności z szeregiem przenikających do wnętrza tajemnic. Towarzysze wyprze-

dził nas tylko w poznaniu, lecz impulsy dobiegające spod ziemi bezustannie uderzają w nas. Na tej drodze przewyciężyliśmy patos męczeński, romantyczną ponurość, atmosferę cierpiętniczej żałoby i klęski.

PRZEZWYCIEŻENIE EGZYSTENCJALIZMU

Po raz pierwszy w historii, śmierć stała się czynnikiem, wzmagającym świadomość ekstatycznej bujności i pełni, niekończącego się w jej obrębie istnienia. O jakże bezsilnym i dekadentem w istocie wydaje się nam dzisiaj katastrofizm podszyty żałobą! Nihilistyczne poczucie nicności jest nam równie obce, jak rozpacz nad grobem poległych.

Włączeni w ciąg metafizyczny przekraczający swym zasięgiem wszystko co było ujrane na ziemi, przewyciężyliśmy na całej linii mieszczańską beznadziejność jednostkowych zgonów. Anachroniczna wydaje się dzisiaj chęć poprzestawania na samej tylko tęsknocie i na tym, co niesie ze sobą ów łązwy, rozpaczliwy smutek — sprzymierzeniec strefy odurzenia.

Aby żyć musimy przekraczać granice widzialnego świata i przedzielać się w niepoznawalne. U szczytu wszystkich doznań rozkwita ekstaza mistyczna zespalająca nas z Bogiem utajonym u źródła istnienia. Natu-

ra ludzka ciąży ku wtajemniczeniu. Nawet wówczas gdy błądzi, powierza się owym olśnieniom przewrotnym — grzeszy szukając narkozy.

Pijaństwo bywa często zboczeniem instynktu metafizycznego. W nalogowym pijaku drzemie nieraz spaczony niedorozwinięty mistyk Droga do świętości wiedzie poprzez chęć wyjścia poza to, co jest.

Lecz nam nie potrzeba żadnych sztucznych podniet. W obliczu wojennego końca nieskończenie zmogła się intensywność każdej sekundy istnienia. Życie nateżyło się stokrotnie z chwilą, gdy historia przełaziła w nie wymiar nieznaną, konfrontując nas z nim bezpośrednio w toku sześciolatnich doznań.

Prawda. Wewnętrzny stan zagrożenia przyciemniał obraz świata — czarne piętna wycisnęły na rzeczach. Zbyt długo trwaliśmy w świetle tajemnic, codziennie bliżsi podziemi. wyczekujący wciąż swojej kolei, aby móc dzisiaj poprzestać na jednowymiarowej trywialności materialistycznego bezsensu istnienia.

Myśl o zgniciu doszczętnym jeszcze nigdy nie była tak wstrętą i nieprawdziwą jak teraz, gdy solidarność nasza sięga poza grób. Zespoliła więc metafizyczna nie uległa na chwilę zerwaniu. Pęd towarzyszący istnieniu poległych i niezapamiętych z dniem każdym wzma-

ga się w obecnym pokoleniu. Niepokoi nas wciąż i olśniewa dogmat mówiący o Świętych Obcowaniu. Ekstaza zawiera się w słowach że życie jest niewyczerpane, do głębi przenika nas prawo o zachowaniu energii, zrozumieliśmy jedynie w aspekcie religijnym na żywsze i najpiękniejsze spośród nieśmiertelnych praw.

OTO WIDZENIA ŚWIATA

Młodość przerywająca granice ciemności najbliższa grobowego dna. Wojna — to jakby rozpad widokregu, który osaczył coś i zamknął nas wszystkich pośrodku w obrębie pochylonych ścian nieba. Pociski otwierające horyzont ZEWNETRZNY oślepiający i nowy — tak patrząc drażyliśmy, w głąb zstępujący w podziemia groby i okopy — najbliżsi piwnic i mogił — opancerzeni ciemnością przed wrogiem. Ocalenie i śmierć czekały na nas w tym samym miejscu, w śmiertelnie wyżłobionej jamie — tam gdzie chwytają się rzecz u korzenia, u źródła witalnej energii, która się w głąb podrywa — tryska w gałęzi i pnie wzdłuż przewodu żywego, jak i nas z gruntu przenika.

Ukształtowała nas szybkość, rozsadzająca brzegi horyzontu — urobiła widzenie świata w obnażającej go do cna eksplozji, która bliskim czyni bezpośrednie sąsiedztwo żywych i umarłych.

Zygmunt Lichniak

REPORTAŻ SPOD SZUBIENICY*)

Pod tym, zdawałoby się, gazeciarsko-sensacyjnym tytułem, kryje się jedna z najpiękniejszych, najczystszych książek o wojnie, znana dotychczas czytelnikowi polskiemu jedynie z fragmentów drukowanych w 5 numerze „Twórczości“ z 1947 r.

Jej autor, członek Centralnego Komitetu czeskiego Ruchu Oporu, aresztowany i katowany w więzieniu pankrackim w Pradze, dzięki pomocy wspaniałego dozorcę więziennego zdobył papier i ołówki i postanowił widziane przez siebie obrazy, przeżywane przez siebie i „kolektyw więzienny“ radości i cierpienia przekazać tym, którzy przyjdą po nim, tym którzy muszą wiedzieć o wszystkim, czego nie przeżyli, aby — ukochać wolność i człowieka.

Wspomnienia te nie mają w sobie nic z elegii „de suo ipso ad posteritatem“. Chociaż pisał je człowiek skazany na śmierć, pełne są radości życia. Może to się wydawać absurdem, ale tak jest: radości życia. I w tym jest owo „coś“, które zniewała ku stromom Juliusza Fuczika, które nie pozwala ocenić ich jako jednej z jego książek, które nie pozwala w ogóle tych kart pisanych w mroku celi więzienną uważać za książkę podległą takim to takim rygorom recenzyjnym. Owo „coś“ nakazuje w ostatnim dziełku Fuczika znaleźć rzadki dokument sily ducha ludzkiego, jego opowieść „nie-sklamana w nczem“, spowiedź intymną, głęboką, szczerą i zupełną, i przez to chyba tak piękną.

Fuczik jest komunistą. Największym świętem jest dla niego pierwszy maj. Najpiękniejszym śpiewem — „Międzynarodówka“. Kolorom radości — kolor czerwony. Owo „coś“, bolesna radość życia, bierze swój początek z głębokiej wiary w słusność wyznawanej idei, w jej bliskie, całkowicie pewne zwycięstwo. Lecz nie w tym leży piękno Fuczikowej postawy i nie z tej deklaracji ideowej wypływa radość życia w obliczu śmierci. To piękno i ta radość rodzi się z właściwego rozumienia idei, z takiego jej ujmowania, w którym opadają fatalaszkę słów, pstrokaclzna haślątek i maluczkosć zawiści klasowej, a pozostaje sprawa najistotniejsza i jedyna: **człowiek**. W stosunku do Fuczika tylko antagoniści wyposażeni w pokazy zasób oporów wewnętrznych i pozbawieni możliwości rozpatrywania spraw ludzkich z ogólnoludzkiego punktu widzenia, mogliby zachować obojętność bezmyślną rezerwy lub zdobyć się na kasiłwą korektę jego wyznań

Nawet najbardziej nieprzejednanych wrogów przeciwnik miłujący swoją sprawę nad życie, a co ważniejsza, interpretujący ją w kategoriach ponadklasowych i ponadczasowych, musi skłonić do szacunku. Musi skłonić do szacunku umiejętnością sublimowania spraw społecznych w sprawy ogólnoludzkie.

I do takiego właśnie szacunku zmusza Fuczik w swoim ostatnim reportażu. Jego wyznania nie są tam wyznaniem przedstawiciela tego czy innego obozu, są ponadpartyjne, ponadnarodowe nawet, a w ich ogólnoludzkiej podniosłości nie ma ani krzty fałszywego patosu.

„Kochałem życie i za jego piękno szedłem w bój. Kochałem was, ludzkie, i byłem szczęśliwy, gdyście mi odpłacali miłością, cierpieniem, gdyście mnie nie rozumieli. Jeśli kogo skrzywdziłem, niech mi przebaczy. Niech nigdy smutek nie łączy się z moim imieniem. To jest mój testament dla was, ojciec i matko, i siostry moje, dla ciebie, Gustyno moja, dla was, towarzysze, dla wszystkich, których kochałem. Jeśli sądzicie, że płacz zmyje smutny pył tęsknoty, zapłacicie przez chwilę. Ale nie żałujcie. Żyłem dla radości i umieram dla radości i byłoby krzywdą, gdybyście mi na grobie postawili anioła żalu.“

W wyznaniu tym nie głuszy jego wszechzowiec nuty fakt, że wykwitło ono na wargach w dniu pierwszomajowego święta. Ta zaleźność, jak komunistyczny salut podniesionej pięści jest w książce Fuczika nieodłącznym atrybutem ludzkiego myślenia, które usilnie domaga się konkretyzacji, chociaż ten kształt społeczny, chociaż ten kształt zamyka zaledwie jej część, chociaż — miast formować — dokonuje niezamierzonych w większości wypadków procesu deformacji. O tych słabościach czytelnik potrafi zapomnieć. Ale nie przebrzmiał mu w uszach ostatni krzyk, widzący już przed sobą widmo bliższej śmierci, pisarza.

Ludzie, kochałem was. Czuwajcie!“

To woła **człowiek**. Ostatnim jego zdaniem nie jest zdanie nienawiści, ostatnią jego radą nie jest okrzyk zemsty. Ostatnim jego zdaniem jest zdanie miłości, ostatnia jego rada zaleca czujność. Przed czym? Przed złem, nienawiścią, podłością i małocnością. To ostatnie zdanie jest wykładnikiem całej książki. Jest ona wyrazem afirmacji wiary w człowieka, afirmacji tym piękniejszej i tym silniejszej, im ohydniejsze i bardziej zwierzęce były akty przemocy ze strony przeciwników. Jest ona wyrazem pogłębionego wojną i wspólnym nieszcześnie pocucia jedności ogólnoludzkiej, jej siły

PRZYPOMNIJMY KAPITANA

Wyobraźnię naszą nie od dzisiaj organizują lotnicy. Znaczenie moralności pojmuje się najlepiej wówczas, gdy panowanie człowieka nad sobą decyduje o jego istnieniu. Poleśniński, znakomity pilot i akrobata powietrzny wyrwał nas z przekłetej strefy odurzenia. Wódki nienawidził, uczył przekształcania pasji seksualnych w energię radosną i twórczą, wyzwalał najwzruszającą sprawność życiową. Trzeba było widzieć Go w powietrzu! Te „beczki“, „korkociągi“, loopingi-ewolucje, na widok których krzyczeliśmy głośno ze strachu.

Moc powstająca z natchnienia religijnego sprawiła, że w ciągu kilku miesięcy przekształcił tryb życia tysięcy młodych ludzi w kraju.

Czystość uczynił potęgą! Trzymał nas umiał — jak nikt. Gdyby żył nie byłoby w Polsce wenerycznie pijackiej psychozy. Zginął nad Berlinem po strąceniu 12 maszyn nieprzyjacielskich!

Sześciu Niemców atakowało Go na raz. Pojedynczo nie mogli dać rady. Lecz: uwaga! Styl jego odżywa znów. Dział! Młody człowiek ze szkoły szybowcowej powiedział mi na odchodnym. Wypełnił rozkaz Kapitana. Chrystus zwycięży. To jasne. A. E.

nym epitetem. Oprawca nie jest ani bestialski, ani okrutny, ani nawet podły. Nawet nie jest oprawcą. Jest po prostu czarnym komisarzem, który z zadowoleniem pokazuje garść wyrwanych włosów. Jakby rwał trawę. Jego uśmiech nie jest ani sadystyczny, ani morderczy, jest zwykłym, bezprzymiotnikowym uśmiechem. To nie przypadek czy chytry dobór przykładów, ale zasada konsekwentnie przestrzegana przez wszystkie rozdziały. Tłumaczy ją podział wprowadzony przy charakteryzowaniu typów więziennych w końcowych partiach książki. Oprawcy to „figurki“, do których nie powinien zniżać się żaden epitet, to ludzie nieszcześliwi, skazani na zagładę. Fuczik stojąc ponad nimi patrzy w sprawy ważniejsze, w człowieka.

Podkreślając walory techniki pisarskiej, z których jeden tylko wysunęliśmy na czoło, a których listę zbogaca i prostota języka i jego wielka ekspresja i wspaniały sposób związłego charakteryzowania postaci i szczerzy liryzm wyznał, stwierdzić jednak trzeba pewną nierówność, załamywanie się poziomu tej techniki, widoczne w pewnych przerosłach patetycznej i poży rozdziałów środkowych („Cela 276“ i „Czterechsetka“). Wpływa to z usprawiedliwionego chyba zupełnie nastroju podniosłości ważkich chwil walki uporu z przemocą. Brak ten w porównaniu z porywającą sumą plusów jest tylko okazją do zanotowania recenzenckich ambicji, kuszących się o pełny obiektywizm osądu, ale w ogólnym rachunku konta książki nie obciąża na tyle aby jej nie uznać za pozycję dającą wgląd w sprawy o tyle szersze niż klasa i naród, o ile głębiej przeorały nas lata wydarzeń wojennych.

Zygmunt Lichniak

Nowość

Stefan Kisielewski
(Kisiel)

„ZBRODNIA
W DZIELNICY PÓŁNOCNEJ“
powieść

str. 216

zł 480,-

Księgarnia

Zdzisław Gustowski
Poznań, ul. Wieka 10

Do nabycia we wszystkich
księgarniach

*) Juliusz Fuczik. „Reportaż spod szubienicy“, tłum. H. Gruszczyńska-Dubowa, wyd. „Książka“, Warszawa, 1947 r., str. 112.

(DOKOŃCZENIE)*

Tak więc w wierszu pt. „Pobyt w Lublinie“ przy opisie kościoła św. Michała, wzniesionego przez Leszka Czarnego, nie mógł jakoś Marcinkowski ani rusz dobrać rymu do słowa „czarny“ i dlatego z krzyżącym pogwałceniem historii zrobił Leszka Czarnego — Wtórym, Morawski, którego się zawsze radził w trudnościach rymotwórczych, zganił niecisłość, która mogła na niego ściągnąć zarzut ignorancji i z najpoważniejszą miną podsunął mu myśl zastąpienia przydomka Czarny przez Bury, które to rozwiązanie miało zdaniem jego tę wielką przewagę nad pierwszym, że nie naruszając prawdy historycznej, ułatwiałoby dobranie rymu do tak trudnego słowa jak mury. Doskonałą ocenę skali inteligencji Marcinkowskiego stanowi fakt, że nie podejrzewając ani przez chwilę zartu, ni podstęp, daleki od zrozumienia ironii, poddał się bez zastrzeżeń argumentacji Morawskiego co spowodowało, że w poemacie jego istotnie figuruje Leszek Bury, ku niebywalej zapewne ucieście generała.

Pewnego razu na prozonym obiedzie u Morawskiego jeden z młodych poetów wystąpił z odczytaniem w obecności samego autora jego wiersza pt. „Pobyt w Lublinie“. Autor słuchał z błogim uśmiechem rozlanym na pełnej twarzy, goście chórem wyrażali zachwyt i pochwały i wszystko zdawało się iść jak najlepszym torem aż do chwili, gdy recytator zbliżając się już do końca, zaczępnął tchu w piersi i z emfazą rozpoczynając nową zwrotkę:

„Nadszedł moment rozstania,
smutne pożegnanie,
Może zawiść te wiersze położy
pod plackiem,
Lecz pomnąc, że was słał pod
niebem sarmackim,
Proście mię na obiady za te
cztery kartki
W niedzielę, poniedziałki, wtorki,
środy, czwartki,
A w piątki i soboty, obywszy
się kaszą
Do zgonu pościć będę na intencję
waszą...“

Porwał się z miejsca Marcinkowski, ugodzony w najczulsze miejsce, wołając w uniesieniu, że to fałsz, że to podrobiona edycja, zapewne przez któregoś z nieprzyjaciół zazdroścących mu sławy i wziętości, nie mógł wszakże przeszkodzić ogólnej wesołości, ani zapobiec rozpowszechnieniu przeróbki w odpisach.

Myśl napisania komedii p. t. „Pszonka“ pochodzi również od Morawskiego, który podał mu ją, gdy Marcinkowski biadał w przystępie szczerości na brak pomysłów do pracy twórczej. Komedja ta została wystawiona w teatrze lubelskim. O tym nader zajmującym przedstawieniu znajdujemy dokładną relację w jednym z listów Morawskiego do Krasińskiego. Oto co pisze on w tej sprawie: „Zesłaliśmy się już o czwartej na teatr, on (Jaxa) od trzeciej był na paradyzie i nie wiedział, że go widzimy. Pełno było i wszyscy cieszyli się z głupstwa, które ich uraczyło miało... Podnosi się kurtyna, — początek niezły, niby koło miodem smarowane na pszczeni-kach. Brawo po całym parterze i wtenczas widzimy jak sam Jaxa dał brawa. Słowo uczciwości prawda. Cała treść sztuki obraca się około wyszydzenia tchórze, którego w konopiach znajdują, przyprowadzają, „robią buńczuczny Babińskim, a na znak tej godności dają mu buńczuk, u którego wisiał cały zdechły tchórz, za którym Jaxa jak wariat latał go całym Lublinie, aby go zna- leż. Owóż Kierdaj Dziusa, — czy- li bohater - tchórz bierze go bez żadnej ceremonii, całuje (na honor) trzy razy w ogon, odbierają mu pan- ne, czemu on się ani dziwi, ani na- wet słowa nie mówi do końca sztu- ki, tylko wciąż całuje buńczuk, ska- cze, tańczy z nim l., zasłona spada. Tu dopiero cały parter i łoże wrza-“

* Patrz „Dziś i Jutro“ nr. 12 (121).

sną: „Autor, autor!“ Widzieliśmy, że Jaxa także gębę miał szeroko otwartą, co kazało się domyślać, że z całej piersi wywoływał autora... Wstępuje na scenę aktor i oświadcza, że autorem sztuki jest wielmożny Kajetan z Jaxów Marcinkowski autor pism wielu. Brawo zagrzmią po całym parterze i Jaxa się pokazał i nuż emablować od łoża do łoża i zbierać pochwały. Ja w tym wszystkim zawsze tę myśl miałem, że generał przyjedzie na tę sztukę i że gdzieś siedzisz ukryty. Straszylem go tym i dlatego aż na paradyz uciekł. Nazajutrz po całym Lublinie wizyty, chwala, której serdecznie wierzył, aż wreszcie przychodzi do prezesa (był nim Łukowiecki), który go wykpił, że starego szlach- cicha na hanswurstę wykierował i sztukę przedstawiać zabrania. Jaxa myśląc, że coś bardzo liberalnego napisał, prosi o wytknięcie miejsc mających polityczną aluzję, aż mu wprost odpowiadają, że nie polity- ka, ale głupstwo temu winno. Prze- rabia więc na nowo i nie wiem, co z tego wypadnie. Wszystkie familie dotąd żyjące w okolicy Lublina po- kładli do sztuki jako to Gałęzow- skich, Dłuskich, Sobieszczańskich, Wybranowskich, Finków i już teraz wymazuje i nad nowymi łamie głow- e... Teraz mi mówił, że zamyśla tłumaczyć Odę do Boga z Dzierż- awina, co za przelot od Babina, jaka niespodziewana imaginacja...“

Kiedy indziej znów, gdy „w pew- nym bardzo znakomitym domu“ odczytywał swój poemat, czy też sztukę dramatyczną pt. „Piast“, urzą- dzono wielką manifestację na jego cześć. Bo gdy dochodził właśnie do pełnej napięcia i podniosłości sceny, kiedy to Rzepicha widząc zbliżają- cych się ku nim aniołów, zapytuje w natchnionych słowach małżonka: „Jacyż się do nas młodzi przybi- żają ludzie. Jeden z nich gra na tra- bie, a drugi na dudzie“, wbiegły nauczone już uprzednio panny dworskie i uwieńczyły olśnio- nego poetę wieńcem z róż. Niestety i tu również wmlęszala się zazdro- sna ręka, która zniweczyła cały efekt tryumfu, nie tylko nie wyjąwszy kolczy z róż, lecz wplótszy jeszcze na domiar złego pokrzywę do wień- ca.

Podobnym wieńcem tylko z łopianu i innego zielska udekorowano go — tym razem za sprawą Koźmiana — już w Warszawie po powrocie z Lublina.

Z pobycem Marcinkowskiego w Lublinie wiąże się również ściśle ballada pt. „Ordynackie“, nawiązu- jąca do popularnej legendy warszawskiej o złotej kaczce, a której bohaterem jest znowu nasz Jaxa. Dmochowski przypisuje ją Domini- kowi Lisieckiemu, Lucjan Siemieni- ski wszakże podaje z większym prawdopodobieństwem, że została ona napisana przez niewyczerpane- go naprawdę w pomysłach generała Morawskiego, który polecił przesłać ją na imię naszego poety z Warsza- wy, by skierować jego podejrzenia na Krasińskiego. Styl balladowo- ludowy jest w niej świetnie utrzyma- ny i jak słusznie podkreśla Siemieni- ski „każdy wiersz tryska dowcipem“. Oto jej treść podana w urывkach:

„Nad Wisłą góra, na górze zamek
Stoi zniszczony bez wałów i bramy.
Tam drzwi bez zamków, zamki
bez klamek,
Bez wschodów piętra i okna bez
ramy.
Pod zamkiem ciągną się pieczary
ciemne,
A w głębi pieczar jezioro
podziemne.
A na jeziorze, o dolo straszliwa!
Kto nie chce wierzyć, niech się
sam przekonaj.
Pływa od dawna i bez końca
pływa
Księżniczka w złotą kaczkę
przemieniona.
Tam żywa dusza wstąpić się nie
waży,
Diabeł jak Argus jest przy niej
na straży...“

Wanda Kieszowska

ŻYWOT KAJETANA

Studium o absorbującym

Choć wielu rycerzy współczując losowi nieszczęsnej księżniczki, pragnęło skruszyć zaczarowane pęta, żaden nie zdołał przeciw tego dokonac. Jaxa wszakże „rycerz znakomity“, „wychowaniem i Marsa i Feba“, nie zrażony tyłu i tak groźnymi przeszkodami, udał się uzbrojony w plik swoich wierszy do pieczary, występując z górną przemową do diabła:

„...Bo wiedz, o czym już u nas
wiedzą żaki
Żem jest poeta i nie lada jaki.
Chociaż nie pięknie, gdy się kto
sam chwali,
Lecz pewnie Wolter...“ itd.
„Uśpiwszy diabła czytaniem swego
„Gorsetu“, Jaxa upojony tryumfem
wypalił z kolei podniosła, a uroczy-
stą oracją do księżniczki, sławiąc
szeroko swoje własne i rodu swego
zastugi:

„Jaxa mam imię, a w herbie lwa
z gryfem.
Z krwi greckich książąt idzie
pierwszy Jaxa,
Bo imię moje prostym logogryfem
Jest wstawione w Iliadzie
Ajaxa.
Klasztor miechowski uczył mnie
orderem.
A Polska swoim nazywa
Homerem.
Serce więc swoje...“ itd.

Zwycięstwo naszego bohatera zda- wało się pewne, lecz niestety już przy końcu niemal drogi los go zdradził, gdyż krzygując się zalotnie przy damie swego serca, która w między- czasie zrzucała piórka kaczce, przy- brała na się postać młodej i pięknej dziewczicy, zawadził niebacznie o dia- bla swym krzyżem miechowskim, co wywołało oczywiście skutek wprost piorunujący:

„Porwał się diabeł świętością
dotknięty,
Jak brys ukropem wrzącym
oparzony,
Lub mąż na widok wiarołomstwa
żony...“

i.. zaprzysiągi śmiałkowi srogą zem- stę, zsyłając go za karę na wygna- nie do Lublina.

W jednym ze swych listów Mo- rawski wyraźnie przyznaje się do wielu figlów i „kawałów“, jakbyśmy dziś powiedzieli, których ofiarą pa- dał oczywiście Marcinkowski. Przy czytaniu tych opisów mimowolj przy- chodzą na myśl słowa wyrzeczone przez Aleksandra Kraushara wła- śnie z okazji owych kawałów urzą- dzanych Jaxie przez całe towarzy- stwo warszawskie:

„Szczęśliwe snąc były to czasy,
gdy świeczniki społeczeństwa mogły
się bez troskliwie zabawić takimi
rozrywkami. Quantum mutatur ab
illo“.

Do tych wspomnień lubelskich na- wiązuje zapewne wiersz Morawskie- go pt. „Do milczącego Jaxy“, pisa- ny w znacznie późniejszych już cza- sach, gdy Jaxa, płodny Jaxa umilkł nagle i przez dłuższy czas nie chciał uszczęśliwić niepokieszonych czytel- ników żadnym utworem:

„Sowo Minerwy, perło Apollina,
Szczytna topoli w poetów
klombie,
Ty coś tak piękne grywał nam
sola
Na Feba trąbie.
Sławny pijaku krynic parnaskich,
Coś Bielawskiego, coś Jacka
przepił,
Ktoż ci na wieczny smutek
Morawskich.
Gębę zalepił.
(Bielawski i Jacek Przybylski —
słynni w swoim czasie wierszokleci).
Był czas gdy jeden bóg nas
prowadził

I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept
sadzil,

Kto lepiej utnie.
Wtenczas to jakby Etna wzbudzona
Wierszesz nam miotał, wierszem
grzmiał, ryczał,
Dziarski twój Pegaz zadarł ogona,
Wierzgał i kwiczał.
Każden ci wprawdzie łatki
przypinał,
Lecz i tyś dowiódł, że umiesz
kąsać.
Poznał świat wtedy co za
kryminał
Jaxą potrzasać.
I skądże po tej bójce tak grackiej,
Milczysz na wieczne dni mych
zatrucie.
Zapiej, ach, zapiej grzędę
sarmackiej
Sławny kogucie.

Upojony łatwą sławą w Lublinie, która jak wino uderzyła mu do sła- bej głowy, zatęsknił Marcinkowski znowu do Warszawy, nie rezygnu- jąc z jej podboju, a że przy tym wszystkim obraził się w końcu na Morawskiego i wyprowadził się z jego domu, tym lżejszym tedy ser- cem zdecydował się w końcu na po- wrót do stolicy. Po drodze wszakże pomnąc nieustannie na przymnoże- nie sobie sławy, jak to na zapobie- gliwego męża przystało, zawadził o Puławę, gdzie przepędził parę dni, wywdzięczając się za gościnę odczy- taniem swego poematu pt. „Rzeki“.

„Jest tu znowu Marcinkowski,
śmieszniejszy, niż był“, pisze wkrót- ce potem Koźmian do Morawskie- go. „W Puławach czytał księżnie (Czartoryskiej) swoją dedykację i poemat „Rzeki“. Powiada, że plaka- ła, że manuskrypt złożyła w świą- tyni Sybilli w złotej szkatule, że księżna wirtemberska zachwycona pięknnością porwała prenumeratę. Wszystko to opowiadał u Krasiń- skiego z wielką dumą i ukontetowa- niem z siebie samego, potem po- biegi do Glücksberga (znany w owym czasie drukarz warszawski) przyspieszył drukowanie. Za kilka minut wpada z rozochranym wło- sem, łamie ręce, przeklina zazdro- snych jego sławie. Pytamy o co idzie, zrozumieliśmy bowiem, że go kto wybił. A on na to: „Rzeki zginęły! Zginęły Rzeki! Ktoś wykrał ma- nuskrrypt!“ Stał posadzenia to na ciebie, to na Krasińskiego. Wypie- ramy się, dajemy słowo, że nic o tej sprawie nie wiemy, a on nie wierzy, wciąż wyrzeka: „Moja sława, mój honor, co powie publiczność! Posadził mnie, że mam oszukał, wy- brawszy prenumeratę za dzieło, które nie egzystuje!“ Perswadujemy mu, że to jego własna wina, że poz- zwolił muzom jak kozom z bitego gościńca uskokoczyć w bok, może wy- skokoczył oknem?! To go wprawiła w nową wściekłość, leci do Glücksber- ga... Hałas na dziedzińcu, ledwo się nie biją, piękno wyzywa, grozi pom- sta, pozwami i już pyta o najbliższe- go adwokata... Wtem zecer wyciąga gdzieś z kupy papierów zasmolony manuskrypt i rzuca mu go pod no- gi... Jaxa ulagodzony uśmiecha się do ukochanego dziecka... lecz Glücks- berg występuje groźnie na scenę i zaczyna go brać z góry. Jaxa tuli kapelusza na uszy i zmyka...“

Po wyjeździe Marcinkowskiego z Lublina generał Morawski ze swej strony ani na chwilę nie chce tracić z oczu swego brata w Apollinie, do- pominając się wciąż u Koźmiana i Krasińskiego o nowiny o nim. Co po- rabia, co pisze itd. narzekając na nudę i monotonię życia po odjeździe Jaxy.

„Jeden bęben i dzwon bernardyn- ski budzą zaspany Lublin, gdzie tak głucho, jak na sejmie galicyjskim,

a ciemno jak w głowie Jaxy...“
lub też:

„Lublin, ja, Leszek Bury... wszys- cy tęsknimy za nim. Cóż on robi? Może na Łysą Górę wyjechał? Mo- że o nim i o sobie powiedzieć: Nec tecum possum vivere, nec sine te!“ albo też wreszcie z okazji wyda- nia poematu „Rzeki“:

„Powiedz mi, czy to Jaxidło zu- pełnie oszalało! Wieżę Kruszwicką słupem nazywa! Nigdy by tego w Lublinie nie napisał — tu może by- libyśmy z niej służy wieków zrobili dlatego, że stoi przy jeziorze, lub też murowaną szatę czasu dlatego, że tak stara, lub nakoniec komin do piekła, którym Popiel za swoje grzechy wyleciał do Tartaru. Tu byłby Jaxa prawdziwszy, a tak jak teraz — jest ni to ni owo. Namawiajcież go niech przyjedzie tu nabrać sił no- wych, tu jego Hipokrena. Nie wiem, czy wiesz, że przyszła mi myśl pa- radiować Mazepę Byrona. Pamiętasz, że tego tam do konia przywią- zali, który z nim bez wytchnienia tyle dni i nocy leciał na Ukrainę. Czy by Feb rozgniewany na Jaxę za głupie wiersze, nie mógł go podob- nie do osta przywiązać, który by z nim latał. A Jaxa wierszami by ry- czał, lecąc przez Podole, Lublin, Warszawę i wszystkie rzeki i bagna?! Początek tego poematu byłby taki:

„Muzo ożyw pierś moją swym
boskim natchnieniem.
Jaxa moim rycerzem, epopeja
pieniem.
Jak ów w rymach Byrona dzielny
koń Mazepy
Leciał z nim bez wytchnienia
w ukraińskie stępy,
Lub ów żyd, co od wieków bez
spoczynku lata
I jeszcze ma się błąkać do
skończenia świata,
Tak nasz Jaxa na ośle ruszywszy
z Parnasu
Czterdzieści lat już prawie pędzi
bez popasu.
Jakieś licha go niesie po różnych
przygodach,
Wali klusem po lądzie, cwałuje
po wodach...
Takiej to ja podróży chcę opiewać
dzieje,
Jeśli mi kto dobrego szampana
naleje...
Mógłbym ja wprawdzie codzień
czytając Kuriera
Innego moim rymom obrać
bohatera...
Ale na cóż opiewać oklepaną
sławę?!)
Sprzykrzyły się już światu te
wawrzyny krwawe,
Wreszcie nie są to dla mnie
rycerze bez braku
I Jaxa jakoś lepiej przypaść mi
do smaku...“

Kiedy zaś wreszcie Marcinkowski, który istotnie dosyć często kursował między Warszawą, a Lublinem, za- witał w odwiedzinę do generała Morawskiego, nie obeszło się oczy- wiście bez zabawnego incydentu. Marcinkowski, który był w gruncie rzeczy wielkim nieukiem, nie znają- cym prawie wcale języków obcych, a już najgorzej chyba oswojonym z łaciną, a którego zasób wiadomo- ści z zakresu historii i literatury po- zostawiał równie wiele do życzenia, jak wielu ludzi niedouczonech ogromnie lubił się popisywać pub- licznie swoją erudycją i wiedzą, na czele każdego utworu kładąc zawa- sze jakąś sentencję znanego autora przeszłości. Cóż kiedy nie zawsze orientował się dokładnie czyje to by- ły myśli i z jakiego utworu wyjęte zostały, a generał Morawski ze spe- cjalnym amatorstwem i znawstwem

JAXY MARCINKOWSKIEGO

charakterze miernoty

przyczyniał się do wywołania jak największego melanzu w jego głowie, w której już i bez tego wielkiego ładu nie było. Na tym tle właśnie rozegrały się na terenie Lublina tragikomiczne sceny, które Morawski swoim zwyczajem opisuje dokładnie przyjacielom:

„Jaxa pisze na mnie komedię pt. „Terazniejsza przyszłość”. Dowiedział się w teatrze, że epigraf na satyrze „Znawców” nie jest Krasickiego, ale Naruszewicza. Rzucił się z parteru jak szalony, trzy ławice obalił i kilku widzów. Spotykamy go wychodzącego z teatru, pytamy o przyczynę pomieszenia, przeklina mnie, siebie i losy, leci jak wariat do sklepów i księgarni, gdzie dał swoich „Znawców” na sprzedaż, puka, dobija się w nocy... Patrol nadchodzi, myśli że złodziej i zabiera do kozy. Przyprawiają na odwach — szczęściem, że go znał oficer i wypuścił. Nazajutrz z ranną zorzą wstał i wszędzie gdzie tylko były egzemplarze podpisał na epigrafie Krasickiego wymazywał, ale i to dało powód do nowych żartów. Już nie wie nieborak co ma począć, gdyby nie święcone nie miałby żadnej poclechy. Dziś jego benefis, bo przynajmniej zjadł z 50 święconych. Broń Boże go dzisiaj nastraszyć, co by tu jaj i szynek powstało w jego żywotnym wulkanie...”

Niezliczone bo naprawdę figle, o których tomy pisać by można wyprawił Morawski ze swoim Tutumfackim. Tak więc między innymi, kiedy w prasie pojawiły się napaści na Marcinkowskiego za jego głupie wierszydła, Morawski niby ujmując się za nim, odpowiadał w jego imieniu napastnikom, bardzo dowcipnie podrabiając styl wołyńskiego wieszacza i operując jego własnymi argumentami, czym ośmieszał go jeszcze bardziej. Znamienny pod tym względem jest wiersz Morawskiego do Godebskiego, zasługujący na uwagę z tego również względu, że mamy w nim podaną niemal pełną listę utworów Marcinkowskiego. Oto wspomniany wiersz:

„Panie Godebski,
Wiersz twój jest klepski,
Lepiej młodziku
Nuć kukuryku.
Ja piszę wiersze,
Nie jak ty pierwsze,
Mnie muza pieści
Już lat czterdzieści
Jeszcze był w jajku
Mały hultajku,
Gdy w Parnas wkroczył
I wnet przeskoczył
W sztuce Apolla
Kiszka i Molla,
(wierszokleci wileński)
Kijów mię głosił,
Na rękę nosił,
Karmił i poił,
A gdy się stroił
W wieniec wołyński
Płakał Feliński.
Cóż ty zrobił,
Byś się ozdobił
Laurem poety?
Gdzie twe „Gorsety”?
Ty piesz drwinki
Ja „Upominki”,
Ty mód żurnale,
Ja „Rzeki” wale,
Sypia się tomy,
A świat takomy
Na moje „Treny”,
„Znawce”, „Treny”,
„Pzonki”, „Pobyty”.
Stoi jak wryty
Nad każdą kartą
Z gęba otwartą,
Prawda, że wielu
Ma mię na celu
I drwi potężnie,
Lecz czemuż mężnie
Nie znieść pocisku.

Zwłaszcza dla zysku.
Przy darze Feba,
Rozum mieć trzeba.
Moja Intrata —
Prenumerata,
Wreszcie, mój Panie,
U nich śniadanie,
Obiad, wieczerze,
A ja ci szczerze
Powiem po prostu, —
Nie lubię postu.
W strasznym zawzięciu
Jem za dziesięciu...”
Itđ. Itđ.

Wyczerpawszy wreszcie całą listę swych zasług oraz powody, które zjednały mu nieśmiertelną sławę na polskim Parnasie, grozi nieszczęsnemu śmiarkowi, co się na niego śmiało porwać srogą zemstą. Oto co czeka nieszczęśnika, gdy cierpliwość Jaxy wyczerpana zostanie:

„Lunę trzydniowy
Potop wierszowy,
Ze z strachu cały
Jak trup skostniały,
Światła się zrzekniesz,
W płekło uclekniesz,
A ja tam nawet
Płacąc wet za wet,
Na kark ci wsiędę
Wiersze ciąę będe,
I tak z ich hurmem
Uderzę szturmem,
Ze wszystko zburzę,
Dziabłów wykurzę,
Sam szatan ryknie.
O litość krzyknie.”
Itđ. Itđ.

Ale w tym krotoczwłnym generale zbyt daleko czasem posuwającym swe żarty, w tym kpiarzu niepoprawnym i ostrym, ciętym satyryku, dla którego już samo imię nieszczęsnego gryziora stanowiło źródło nieustannego dowcipu, tkwiła przecież dusza szlachetna i serce dobre, prawdziwie gołębie, czułe na każdą rzeczywistą biedę i niedolę ludzką. I dlatego dowiedziawszy się okrężną drogą o chorobie Jaxy, pierwszy ofiarowuje mu się z pomocą i apeluje do przyjaciół, by się nim wspólnymi siłami zająć i znaleźć jakąś pracę. I do tej potrzeby nlesienia pomocy powraca parokrotnie w listach do Koźmianów i generała Krasieńskiego.

„Zona moja dowiedziała się, że Jaxa znajduje się w potrzebie i chciałaby mu dopomóc. Powinnłmy mu co obmyśleć, bo przecie z tą rolą nie może zostać na całe życie...”

W żartobliwej i dowcipnej formie pisze jednak to samo i do Krasieńskiego:

„Jaxa, drogi Jaxa podobno chory i prawie tak nędzny, jak jego wiersze Niech się generał dowie, czy to prawda, bo przecie nie można go opuścić. W Wielkopolsce, na Śląsku nawet mówiono o nim. Zastanawiałem się, jak rymy jego mogły go tak głośnym uczynić i wytfumaczyłem to sobie tymi wierszami, które niegdyś sam zrobiłem:

„Sława, co życie nasze przedłuża za grobem
Szczególnym dzieła ludzi rozgłasza sposobem, —
Z dwóch stron sobie przeciwnych
dwie trąby przytyka. —
Jedną głosi Byrona, a drugą
Jaxika...”

W innym jeszcze liście znajduje się następujący urywek poświęcony naszemu poecie już po widzeniu się z nim:

„Biedny Jaxa smutny niezmiernie,
płakał tu nieborak, rozmyślając nad swym losem bez nadziei. Litość brała patrząc na niego i zupełnie mi się z nim figlować odciechało.”

Los wszakże uśmiechnął się wreszcie do Kajetana Jaxy Marcinkow-

skiego, poety tak srodze doświadczanego, a przez współczesnych zapoznanego, okazując się dla niego znacznie łaskawszym, niż to on sam i jego przyjaciele mogli się spodziewać. Oto bowiem w związku z przeprowadzaną reformą szkolnictwa i ustanowieniem kuratorów nad szkołami, otwarto się też wiele posad wakujących na inspektorów, czyli wychowawców, kontrolujących zachowanie uczniów i czuwających nad nimi. Marcinkowski złożył podanie i dzięki mocnemu poparciu Koźmiana i Krasieńskiego, ręczącym za jego „poczciwość”, otrzymał pewne nadzieje na przyjęcie, mimo początkowej niechęci kasztelana Okselewicza — generalnego kuratora, który wcale nie okazywał skłonności przyznania tak odpowiedzialnej placówki, jak kierowanie młodzieżą, człowiekowi: okrytemu powszechną śmiesznością. W chwili gdy sprawa posady wydawała się już prawie przesądzoną na korzyść naszego poety, poczęły się pojawiać liczne przeszkody ze strony samego Marcinkowskiego. To stanowisko inspektora wydawało mu się zbyt nędzne i marne wobec jego zasług, to buntował się przeciwko kategorycznemu żądaniu kasztelana Okselewicza, obiecującego mu przyznania się do manii wierszoklektwa, który to warunek musiał go ugodzić prosto w serce i dumę autorską, a że musiał się trochę hamować wobec Okselewicza, więc tym głośniejszym żalem wybuchał przed Koźmianem.

„Wolę z głodu umrzeć, niż się zrzec tego, czym sobie w kraju reputację i niejaką sławę zrobiłem”.

Kiedy wreszcie po rozlicznych staraniach Koźmian otrzymał wiadomość o przyznaniu Jaxie urzędu inspektora i pragnąc mu osobliwie tę radosną nowinę zakomunikować, przywołał go do siebie, Marcinkowski wpadł najniepodziwleńniej w czarną rozpacz:

„Jak to?! Ja tylko inspektorem! Ja co pół wieku strawiłem na przysługach literaturze, a inni co wcale pióra nie maczali, kuratorami zostają! To już jest krzywda, której sobie wyrazić nie pozwolę!”

Wiele czasu i cierpliwości musiał zużyć stateczny, pełen rozsądku i taktu Koźmian, by przemówić jakoś do rozsądku rozgoryczonego, a tak srodze przez los i współczesnych prześladowanego poety. Wolno, dobitnie wbił mu w głowę, że kasztelan Okselewicz nie miał bynajmniej zamiaru obrażania go, że chodziło mu zapewne o to, aby pisanie nie odrywało go i nie przeszkadzało w nowych obowiązkach, jakie na siebie przyjmował, że może pisać i mu się podoba, byleby tylko piodów swej trwócości drukiem nie ogłaszał itd. Co się zaś samego urzędu dotyczyło, to na te posady było kandydatów tak wielu, że należało je chwycić bez namysłu i... Bogu dziękować za nie, że zresztą najważniejszą rzeczą jest raz się gdzieś zająć, a potem znacznie łatwiej już piąć się po szczeblach w górę itd. Bóg wie zresztą jakich tam argumentów użył jeszcze, — dość że go przekonał. Jaxa urząd przyjął i... ku wielkiemu zadziwieniu wszystkich — wcale nieźle się na nim sprawował i z przyjętych na się obowiązków nader sumiennie się wywiązywał.

Morawski bardzo owacyjnie powitał wiadomość o nowej godności Jaxy, czym, swoim zwyczajem dał wyraz w liście do generała Krasieńskiego:

Jaxa ma więc urząd! Ciesz się. — Mówią, że po tej wieści rozszerzonej w Płocku,

Tak się ciemno zrobiło, jakby o północy.
Szatan rymów na górnym przeleciał ogierze,
Sowy huczeć poczęły, piszczeć nietoperze,
A widmo Bieławskiego uwięzione chwastem
Rycząc wiersze „Gorsetu” bujało nad miastem.
Zdumiał się Kobylński na ten przestrach nocny, (Kobylński prezes miasta Płocka),
W dwa tysiące żołnierza wystąpił Cichocki, (Cichocki — generał brygady),
A Prażnowski co wszystkich do skruchy zagrzewał,
Niezmiernie cienkim głosem miserere śpiewał...”

Marcinkowski i w Płocku nie przestał jednak pisać, mimo solennych obietnic i przyrzeczeń danych Okselewiczowi. Był nieuleczalnie chory na manię wierszoklektwa i dlatego zwierzchniej poznawszy go już bliżej, przez palce starali się patrzeć na tę słabość, na którą nie było rady, ni lekarstwa, uznawszy z góry już walkę z nią za beznadziejną. Według dowcipnej uwagi Koźmiana sama krew chyba musiała mu w żyłach krażyć rymami. Opiewał więc w dalszym ciągu miasto, sławił wdzięki panieńskie, zabawy i obchody, nawet żydom i żydówkom płockim nie darował.

Do prawdziwych perełek tego okresu twórczości należy poemat pt. „Echo”, w którym między innymi znajdujemy następujący dwuwiersz zawierający delikatną aluzję do pewnej pani ki zakochanej, jak to wieść powszechna niosła w oficerze pułku płockiego nazwiskiem Szeliga:

„A co to tej pannie na sercu dółga,
Echo nie dostyszało i mówi:
Szeliga”. Itđ. Itđ.

O tym to właśnie okresie płockim pisze jeszcze Morawski do generała Krasieńskiego:

„Mogę ja tej wieści wierzyć,
Ze się sława literacka
Tak poczyna znowu szerczyć,
Jak w obfitym wieku Jaxka, (Jacek Przybylski znany wierszokleci).
Ze nie syty tyłu rymów
Jaxa z prozy chce być znany
I już furi synonimów
Płockie wiozą nam furmany.
Ze nie szczedząc trudów, potu,
Wszystko głęboko rozmyślał
I pełen swego przedmiotu
Najlepiej głupstwo określał”.

Na urządzie swym w Płocku pozostał Jaxa Marcinkowski aż do roku 1832, w którym to roku „paraliż naruszył mu pół głowy”. Czując się chory przybył do Warszawy na kuraację do SS. Miłosierdzia, gdzie też wkrótce umarł.

Co do ostatniej choroby zresztą i samej śmierci Marcinkowskiego brak jest jednolitości i zgodności w przeróżnych relacjach. Jedni podają nadmierne upodobanie w trunkach za bezpośrednią przyczynę choroby i śmierci, inni znow wspominają tylko o paraliżu, inni jeszcze napomkają o chorobie umysłowej, której miał ulec przed śmiercią, z czego wynikałoby raczej, że musiał umrzeć nie u SS. Miłosierdzia, jak chcą niektórzy, lecz u Bonifratrów, zaś Józef hr. Krasieński na podobieństwo Kajetana Jaxy Marcinkowskiego, uwiecznionego przez Jakuba Sokołowskiego, umieścił napis głoszący, że „Z idealnego rozkochania się w ordynatowej Zamojskiej dostał chwilowego pomieszenia zmysłów i umarł w 1832 r.”

Jakkolwiek tam było, „przyjaciele” nie zapomnieli o nim jednak i nie opuścili w niedoli, pomagając go i opiekując się nim do końca.

Lucjan Siemieński w portrecie literackim Franciszka Morawskiego zastanawia się obszerniej nad osobą Kajetana Jaxy Marcinkowskiego, jego pojawieniem na tle okresu dogoryjącego już pseudoklasyzmu oraz zaciętej walki przez tenże obóz mu wydanej.

Koźmian w swych Pamiętnikach stara się oczyścić towarzystwo warszawskie, zwłaszcza zaś bywalców domu Krasieńskiego — tych wszystkich dygnitarzy tak mocno i pewnie siedzących na swych wysokich urzędach, otoczonych dobrobytem, sytych i zadowolonych z życia, te wszystkie znakomitości sztuki literackiej itd. z postawionego im w późniejszych czasach zarzutu, że za cel swoich żartów, sarkazmów i bardzo bolesnych nieraz pocisków — obrali Jaxę Marcinkowskiego, człowieka zależnego od nich materialnie i tak nędzne i nieporadne sprawującego wrażenie w porównaniu z nimi wszystkimi, zdającego się bardziej zasługiwać na opiekę i litość, niż na kpiny i szyderstwo, z jakim go przyjęto i ścigano przez całe życie aż do końca dni jego.

„Gdyby był przybył bez pism”, czytamy w pamiętnikach Koźmiana, „bez dumy, bez natręctwa, które tak bliskie jest podłości, gdyby był chciał się uczyć, douczać i milczeć, byłby nawet poważany i lubiany, ale przez próżność wpadł we wszystkie rodzaje śmieszności, które są jej karą, a przynajmniej ją wywołują...”

Słowem tym niepodobna odmówić pewnej słuszności, kryją one też w sobie z pewnością sporą część prawdy, zatrzymują się wszakże tylko na zewnętrznych pozorach, nie sięgając głębi i nie wyjaśniając całości ani istoty poruszonego „zagadnienia”. Ażeby zrozumieć należycie całe odium, całą pogardę manifestowaną przez poetów pseudoklasycznych w stosunku do nadejłej i płaskiej lśotnie muzy Marcinkowskiego, należałoby sobie przypomnieć w tym miejscu obronę wołyńskiego „wieszacza” przez poetów romantycznych, opatrywaną zawsze złośliwym komentarzem, że Marcinkowski, ten wyszydany, wysmiewany, pogardzany Marcinkowski nie odbiega znowu tak bardzo od poziomu całego obozu pseudoklasycznego, że nie jest wcale gorszy od wielu innych przedstawicieli tego kierunku, tolerowanych, ba, nawet uznawanych i zażywających pewnej sławy od swych współwyznawców w Apollinie. I tu dopiero potrącamy o zasadniczą stronę, tu mięści się sedno całej sprawy i tej zaciętej walki, jaka wokół naszego poety od chwili przyjazdu do Warszawy rozgorzała.

Ślusznie bowiem podkreśla Lucjan Siemieński, że źródło natchnienia Marcinkowskiego jako i najświetniejszych gwiazd pseudoklasycznego firmamentu jest właściwie i tu i tam jedno i to samo. Cała różnica polega na skali talentu i wykształcenia. „Te same rzeczy zwietrzałe, powiedziane już tysiąc razy, powtarzał w mniej dobrze utoczonych i zwierłych wierszach, ale zawsze czepiał z tej co i klasycy kryncicy i w niczym nie oddalał się od ich rutyny co do formy, wyrażań i stylu... Nie mając ich nauki, ich talentu, robił przecie to co i inni... Była to ta sama maniera, tylko praktykowana przez partacza, który robił ją na jarmark i przeciw ich jakości stawał chętnie swoja fłoc...” Choć tedy spód piór wybitnych luminary pseudoklasycznych wychodziły zawsze dzieła poprawne, o nięaganej prawdziwie, aż nadto wymuskanej formie, — wszystko zaś cokolwiek spłodziła osławiona muza Marcinkowskiego, było śmieszne, głupie i płaskie, to jednak i im i naszemu poecie brak było prawdziwej poezji i prawdziwego natchnienia. Skostniała forma domagała się na gwałt odrodzenia, to była prawda najoczywistsza, która była w oczy, a której obóz pseudoklasyków za nic nie chciał uznać, broniąc się rekoma i nogami przeciwko wszelkim zmianom i reformom.

Lucjan Siemieński z wielką słusznością nazywa Marcinkowskiego arcyministrem komunala, jego wiersze zaś prawdziwą parodią wobrażeń i zasad z takim uporem, tek kurczo-wo przez pseudoklasyków utrzymywanych.

TYDZIEŃ KULTURALNY

NAJAZD PISARZY KATOLICKICH NA ZIEMIE ODZYSKANE

9 lutego w Związku Literatów we Wrocławiu Wł. Jan Grabski w ramach swego wieczoru autorskiego czytał fragmenty prac o wpływie Karola Fourriera na Gandhiego i o zbieżnościach manifestu Consideranta z r. 1813 z manifestem Komunistycznym, fragmenty prozy powieściowej i wiersze. 11 lutego we Wrocławiu Jerzy Zawieyski wygłosił odczyt o humanizmie chrześcijańskim.

W serii wieczorów autorskich występuje w miastach pomorskich Wojciech Bak.

12 lutego odbyła się w teatrze wrocławskim premiera sztuki Jerzego Zawieyskiego „Ocalenie Jakuba”. Sztuka Zawieyskiego cieszy się we Wrocławiu wielkim powodzeniem.

W ramach śród literackich w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy odbył się wieczór autorski Jana Dobraczyńskiego. Autor odczytał dwa fragmenty swej nowej powieści „Wybrańcy Gwiazd”. Wieczory autorskie Jana Dobraczyńskiego odbyły się również w Toruniu, Inowrocławiu i Włocławku.

NAGRODA

PENCLUBU POLSKIEGO

Na walnym zebraniu Penclubu Polskiego w grudniu 1947, postanowiono wznowić dwie doroczne nagrody, które były nadawane za najwybitniejsze tłumaczenia z literatury polskiej na języki obce. Dotychczas laureatami byli: Aniela Zagórska, Józef Wittlin, Maria Godlewska, Julian Tuwim i Gabriel Karski.

Zarząd Penclubu w obecności prezesa Jana Parandowskiego, wiceprezesa Marii Dąbrowskiej, sekretarza generalnego Michała Rusinka i członków zarządu: Jarosława Iwaszkiewicza, Ireny Krzywickiej, Jana Nepomucena, Millera, Marii Bechzy Rudnickiej i Jerzego Zawieyskiego zdecydował przyznać nagrodę za rok 1948 w wysokości 100.000 zł. Leopoldowi Staffowi, który wzbogacił naszą literaturę przekładową, wieloma wysoką wartości tłumaczeniami. Za szczególnie zasługujące na wyróżnienie zostały uznane przekłady Kwiatków św. Franciszka, utworów Leonarda da Vinci i Michała Anioła, Psalterza biblijnego i in.

Nagrodę za tłumaczenie literatury polskiej na języki obce postanowiono przyznać znanemu poecie czeskiemu Franciszkowi Halasowi za tłumaczenie na język czeski Konrada Wallenroda. Grażyny i Działów Mickiewicza, i Ballady Słowackiego.

JULIUSZ BENDA O KRYZYSIE

LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ

JAKO gość Polskiego Pen-Clubu bawił pewien czas w Warszawie Juliusz Benda, autor głośnej w swoim czasie książki „Zdrada klerków”. Wśród paru konferencji, jakie wygłosił w Warszawie ten sędziwy, bo już blisko 80 letni autor zwraca specjalną uwagę na odczyt „Inauguracyjny” zorganizowany dla niego przez Pen-Club, po raz pierwszy od 1939 roku dla zagranicznego pisarza.

Tytuł odczytu, podany w afiszach bez żadnego sensu „Kryzys literatury francuskiej współczesnej a młodzież” miał brzmieć w istocie, jak to wyjaśnił autor „Młodzież w obliczu kryzysu współczesnej literatury we Francji”.

Sędziwy przywódca liberalno-racjonalistycznego klerunku w literaturze francuskiej wystąpił w swym odczycie z aktem oskarżenia o „zdradę klerków” w stosunku większości współczesnych pisarzy francuskich, zaś w szczególności do Gide, Mallarmé, Allain, Paul Valéry. Zdradą jest porzucenie płaszczyzny „czystego rozumu” i obiektywnej, bezosobowej obserwacji życia, jako jedynego dopuszczalnej, zdaniem Bendi postawę pisarza.

W tym też duchu atakuje on zarówno surrealistów, jak intuicjonistów, jak wreszcie wszystko co jest według niego literaturą o podłożu ideowym, podchodząc do życia, do człowieka i jego przeżyć z jakimikolwiek innymi założeniami, jak bezstronnej obserwacji.

Próbuje więc Benda wypłynąć ze swą doktryną omijając jednocześnie marksistowski punkt widzenia, żądający analizy współczesnej rzeczywistości pod kątem widzenia, prawideł materializmu dziejowego, jak i punkt widzenia katolicki, który pozostawiając artyście pełną swobodę tematu i przedmiotu studium żąda jednak zachowania właściwego stosunku pomiędzy przyrodzonym i nadprzyrodzonym, a w pierwszym—właściwego rozróżnienia między dobrem a złem. W tym lawirowaniu i rozpaczliwym powoływaniu się na wiarę, że logika wystarcza dla pojęcia i osądzenia świata, wyczuwa się epigonizm Bendi, reprezentującego już dziś, z niewątpliwie dużą swadą intelektualną, tylko samego siebie.

Dlatego jego końcowe wezwanie do młodzieży, by tylko na zimno oceniała otaczające ją życie, lecz nigdy doń nie odnosiła się z uczuciem, czy zapalem „jager froidement son temps et na pas y adherrer avec foi” — wydaje się nam hasłem nie tylko przegrany, lecz i szkodliwym. Oczekujemy od młodych, by walczyli i budowali własną wizję życia a nie by je analizowali tylko laboratoryjnymi metodami.

Ganiąc merytoryczną stronę wypowiedzi, chwając zaś jej ładną i inteligentną formę, nie można jednak

Juliuszowi Bendzie nie wypomnieć, że nie skorzystał ze swego pobytu w Polsce, by przypomnieć, iż pochodząc z Sanoka, jest jednak synem polskiej ziemi. Wydaje się nam także przykrym dysonansem fakt, iż pisarz ten, który jeszcze do 1939 roku wcale nieźle władał językiem polskim nie zechciał w czasie swego pobytu ani razu się nim posłużyć, choćby podziękować za serdeczność zgotowanego mu przez publiczność warszawską przyjęcia.

ROZDROŻE MIŁOŚCI ZAWIEYSKIEGO W TEATRZE KLASYCZNYM

Najbliższą premierą Teatru Klasycznego będzie sztuka J. Zawieyskiego „Rozdroże Miłości”, która na scenie krakowskiej odniosła wielki sukces. Sztukę reżyseruje Maria Dułęba. W rolach głównych wystąpią: Maria Gorczyńska, A. Zabczyński, J. Śliwiński, Ładziński i in. Oprawę dekoracyjną przygotowuje Feliks Manciewicz.

ZMOWA MILCZENIA

OBSERWUJE się w Polsce często zjawisko spóźnionej, zwolnionej jakby reakcji naszych recenzentów. Często nawet ważne fragmenty naszego życia kulturalnego są otczone jakby z mową milczenia a niejednokrotnie wyprzedza krytyków w ocenie publiczność.

Oto istnieje w Warszawie teatr Aktora i Lalki, który debiutował w lecie ciekawie rozwiązany widowiskiem dla dzieci „Gęgorek”. Teatr zachwycił codziennie dziecięcą i nie dziecięcą publiczność, mimo trudności zrealizował drugie przedstawienie „Guliwer”, zyskał zaintereso-

wanie nie tylko młodych widzów, ale zdobył sobie coraz liczniej zapełniającą widownię starszą generację. Nie doczekał się jednak zainteresowania naszej prasy i krytyki. Guliwer w krainie Liliputów jest widowiskiem wartym zainteresowania. Począwszy od oryginalnego, pełnego wdzięku, a pozbawionego nutki sentymentalnej, tak drażniącej we wszechstkich innych teatrzykach kukielkowych tekstu Tadeusza Sowińskiego, skończywszy na lalkach naprawdę pięknych, plastycznych odrealnionych (jakże innych od niezdarnie realistycznych lalek, których tyle widuje się na scenach dziecięcych teatrów) — widowisko jest konsekwentną świadomą realizacją założeń artystycznych, które zasługują na uwagę i zainteresowanie.

Artyzm Obrazcowa słusznie doczekał się u nas wielu omówień. Teatr Aktora i Lalki reprezentuje odmienne założenia, ma swój styl, swoją koncepcję i na milczenie nie zasługuje, tym bardziej że brak poważnych zobowiązań w dziedzinie kukielki odczuwa i Film Polski i teatry dziecięce.

W wykonaniu, opracowaniu ostatniego przedstawienia uderza czystość dykcji, interpretacji i skoordynowanie słów z ruchami lalek co świadczy o tym, że zespół artystyczny pokonał trudności tak specyficzne dla teatru lalek, w którym aktor musi mówiąc ruszać lalkami. T. Marek, S. Czachorowski, W. Fijewski, B. Niemyski, Ewa Kryst, H. Orlikówna, H. Racięcka, i R. Siciński, stanowią już grupę artystów specjalistów w tej niełatwej dziedzinie sztuki. Teatr

boryka się z trudnościami technicznymi, brak pracowni, kulis kancelarii utrudnia pracę i stwarza przeszkody, które przy zainteresowaniu się Ministerstwa Kultury i Sztuki dałoby się niewątpliwie, usunąć.

OŚWIADCZENIE

W nr. 61 „Życia Warszawy” z dnia 1 marca br. ukazała się notatka, stanowiąca bezprzykładną napastę na wybitnego pisarza i artystycznego działacza zawodowego Aleksandra Wałę.

Nie wchodząc zupełnie w meritum sprawy, zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że użycie obelżywego wyrażenia na łamach poważnego pisma w stosunku do cenionego pisarza i działacza, członka prezydium Rady Związków Artystycznych, wiceprezesa Zarządu Warszawskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich i członka Zarządu Pen Clubu, jest rzeczą gorsząca.

Niżej podpisane organizacje zwracają się do Związku Zawodowego Dziennikarzy R.P. o wspólne nariadenie się celem uniknięcia na przyszłość tego rodzaju niedopuszczalnych incydentów.

Rada Związków Artystycznych
Prezes

(—) Piotr Perkowski

Zarząd Główny Związku
Zawodowego Literatów Polskich

Prezes

(—) Jarosław Iwaszkiewicz

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Związku Zawodowego Literatów
Polskich

Prezes

(—) Ewa Szelburg Zarembina
Pen Club

Prezes

(—) Jan Parandowski

Wędrowki po scenach polskich

MARZENIA RZADKO SIĘ SPEŁNIAJĄ

Marzenia sprężone są nierozdzielnie z naturą ludzką. Nie wierzymy tym, którzy z miną wyniosłą i obójną twierdzą, iż tego typu uczucia są mu obce. Mina ta jest pozą. Każdy z nas marzy... choćby o tym, jak uwolnić się od marzeń.

W pięknej sztuce S. J. Bernarda*) tzw. realistką jest Eliza matka Joanny. Zachowuje wszystkie pozory trzeźwości. Gra rolę wolnej od marzeń dość długo i bardzo sprytnie — jeden moment, wizja dobrego zamążpójścia córki, demaskuje ją całkowicie: skrzętnie ukrywane marzenie wypływa na wierzch odbierając Elizie dotychczasową pewność siebie.

Czy dobrze jest gdy marzenia traktujemy jako wadę. Chyba nie, bo w ten sam sposób za wadę moglibyśmy również uważać uczucie głodu lub pragnienia.

Inna sprawa, że marzenia utrudniają nam życie dlatego, iż na ogół biorąc, rzadko kiedy się spełniają. A niezrealizowane marzenia to rozgoryczenie i pretensja do losu. Warto by jeszcze było dodać, że zbyt nie uleganie marzeniom jest również niebezpieczne jak próba ucieczki od nich. Jeśli chęć wyzbycia się marzeń prowadzi do skamienia uczuciowości, to zbyt uleganie im prowadzi do nadmiernej sentymentalizmu wiodącym wprost do kompleksu niższości.

Gość w „Domu przy drodze” mylący się powieściopisarz - psycholog Antoni Vanier ma według opinii syna, dziwne usposobienie. Pragnie zobaczyć Indie — a można być niemal zupełnie pewnym, iż po przyjeździe do wymarzonego kraju doznałby rozczarowań, poczułby się nieszczęśliwy.

Czy to jest naprawdę takie dziwne? Każdy cel życiowy wyobrazony w marzeniach daleko niestety odbiega od rzeczywistości.

Między marzeniem a rzeczywistością jest mniej więcej taka różnica, jaka istnieje między wizją płaszcza ojcowego niesionego w sercu córki kaleba w dickensowskim „świerszczu za koniem” a łachmanem okrywającym w rzeczywistości zgarbione plecy ojca.

*) I. J. Bernard — Dom przy drodze (Nationale 6) — Teatr „Jaskółka” w Warszawie. Reżyseria Ładosiówny. Dekoracje Tadeusza Białejewskiego. Przekład Marii Serkowskiej.

Dlatego nie trzeba zamartwiać się niespełnionym marzeniem: Znacznie większe rozczarowania niesie ze sobą często ich stanie się ciążem.

„Dom przy drodze” (treści nie podaję świadomie: sztukę trzeba zobaczyć) reprezentuje francuski teatr milczenia. Tak to oceniam czytając już w r. 1939 ten francuski oryginał. Wydaje mi się jednak, iż tłumacz trochę nie dorósł do zadania. Teatr milczenia polega nie tylko na tym, by pewne rzeczy w nim wygrać mimiczne, lub zawiesić niedopowiedziane, ale i na tym, by do perfekcji doprowadzić oszczędność słowa unikając jednocześnie przybosiowości. Weźcie do ręki któraś ze sztuk Szaniawskiego — próbujecie dokonać skrótów, tak by sztuka nie straciła na zrozumiałości. Nie uda się: Każde słowo jest ważne, każde trafne i każde niezbędne. Dlatego sztuka Bernarda dałaby pełnię wrażeń, gdyby... ale to znów marzenia. W przekładzie prezentowanym przez M.T.D. tu i ówdzie zakradało się gadulstwo nieharmonizujące z pięknymi scenami wymownego milczenia.

Irena Ładosiówna reżyserka sztuki uchwyciła w delikatne dłonie wiotką i subtelną nitkę myśli autora i uprzedziła nam piękną cadość, bez najmniejszego zerwania, bez jednego supełka. Przez dwie godziny omotanymi byliśmy pajęczynką subtelności i mgiełką zadumanych rozmyślań.

Do zachowania tego nastroju przyczyniło się również bezbłędne ujęcie roli przez Stanisławę Stępnioną (Joanna) i Leona Łuszczewskiego (Antoni Vanier). Bez zarzutu wypadła także Wanda Szczepańska (Eliza). Marian Bogusławski (Michał) niestety nieco sztuczny, a Ryszard Piekarski (Robert) również niestety, zbyt chroowaty.

Tadeusz Białejewski potraktował teren za oknem bardzo serio. Lepiej pasowałyby i tu jakaś lekka mgła odrealnienia.

W sumie spektakl „Domu przy drodze”, wbrew pozorom mówiącym jakoby teatr milczenia przeznaczony był tylko dla wybranych, zapewniła każdemu widzowi dużo wrażeń i budujących przeżyć.

Szczerze się stało (trochę w tej opinii nieufności do warszawskiej widowni — ale głównie chodzi o podkreślenie specjalnego klimatu sztuki) że „Dom przy drodze” wystawiono na najmniejszej scenie M.T.D.

ZAGADNIENIE MURZYŃSKIE

Sens sztuki jest bardzo prosty. Autorzy przypominają nam, że zwycięskie zakończenie wojny z hitleryzmem nie zniszczyło, jak się okazało, rasizmu. Spotykamy się z nim ciągle. I to nie gdzieś tam na uboczu, gdzie dostrzec go trudno, ale tam gdzie stanowi on, tak jak stanowił przed wojną, jeden z zasadniczych problemów wewnętrznych. Chodzi o mocarstwo, które brało udział w walce o sprawiedliwość społeczną, które należy do obozu zwycięzców.

Ameryka podjęła walkę z Niemcami w imię wolności i równości człowieka, a sama nie potrafi, czy nie chce, tak radykalnie zmienić własnych stosunków, by rozwiązać problem murzyński, by człowiekowi czarnemu zapewnić pełnię wolności opartą na zasadach równości.

Problem jest tak prosty, że sztuka A. d'Usseau i J. Gow*) jest właściwie niepotrzebna. Nie mają sensu wszystkie dyskusje i motywowania przyczyn konfliktu głęboko sięgającymi korzeniami tradycji. Na to nie może być usprawiedliwienia. Senatora Ellswortha Langdona należałoby zamknąć w więzieniu, a nie obnosić się z nim po scenie, a nie pozwolić mówić mu głupstwa. Wprawdzie autorzy potępiają jego kabotyński sposób myślenia, próbują nawet ośmieszenia, ale wszystko to razem jest trochę podobne do owijania brzydkiej rzeczy w bawełnę. Jeśli głęboko sięgające korzenie brzydkiego chwastu, do tej pory, mimo doświadczeń tej wojny, w dalszym ciągu chcą się rozrastać, jeśli krew wylana w Europie nie zdołała ich uszlachetnić, to należy je wyrwać radykalnie a nie cackać się z nimi.

Problem jest tak prosty, że sztuka A. d'Usseau i J. Gow*) jest właściwie niepotrzebna. Nie mają sensu wszystkie dyskusje i motywowania przyczyn konfliktu głęboko sięgającymi korzeniami tradycji. Na to nie może być usprawiedliwienia. Senatora Ellswortha Langdona należałoby zamknąć w więzieniu, a nie obnosić się z nim po scenie, a nie pozwolić mówić mu głupstwa. Wprawdzie autorzy potępiają jego kabotyński sposób myślenia, próbują nawet ośmieszenia, ale wszystko to razem jest trochę podobne do owijania brzydkiej rzeczy w bawełnę. Jeśli głęboko sięgające korzenie brzydkiego chwastu, do tej pory, mimo doświadczeń tej wojny, w dalszym ciągu chcą się rozrastać, jeśli krew wylana w Europie nie zdołała ich uszlachetnić, to należy je wyrwać radykalnie a nie cackać się z nimi.

*) A. d'Usseau i J. Gow — Głęboko sięgające korzenie. Sztuka w 3 aktach. Teatr Mały.

Każde inne państwo dawno by już dokonało tego zabiegu wydając odpowiednio ustawy konsekwentnie ich przestrzegając. Nie może tego zrobić tylko kraj tak szanujący „wolność” swych obywateli, że w imię tej wolności toleruje... niewolnictwo.

Wolność nie może być równoznaczna z bezprawiem, a z drugiej strony wolność jest przywilejem każdego człowieka bez względu na pochodzenie, wyznanie i kolor skóry.

Sztuka A. d'Usseau i J. Gow stwarza sugestie, że „sprawa jest na dobrej drodze”. Mówi się o tym, że nie wszędzie jest źle, że następuje przebudowa psychiczna społeczeństwa, że maluczko a...

Czy autorzy, jako Amerykanie nie czują śmiechności takiego stawiania sprawy. Przecież w koncepcji zlikwidowania sprawy murzyńskiej na drodze powolnej ewolucji tkwi przyznanie się do niedorozwoju społecznego. Gdzie to pionierstwo? Gdzie usprawiedliwienie dla dumy i chęci przewodzenia światu? Szeryf Serkin bardzo przypomina jakiegoś lagerführera z Treblinki, a jeden czy kilku Horwardów Merrich'ów nie rozwiążą sprawy. Przypominają oni tylko brakiem woli do zasadniczych decyzji mit o „dobrych Niemcach”.

„Głęboko sięgające korzenie” to sztuka źle napisana. Nie wolno z poważnego zagadnienia robić cikliwych melodramatów (zwłaszcza nieszczęsny akt 3-ci).

Wykonawcy momentami bezradni, starali się jakoś postawić na nogi kiepską treść. Za specjalnie udane wysiłki wyróżnić trzeba Marcina Bay-Rydzewskiego, Janinę Anamiskównę, Halinę Jasnorzewską, Kazimierza Zarzyckiego i Stefanię Koronacką. Zofia Kolicka wpadła na szczęśliwy pomysł odróżnienia się od białych szorstkim, twardym sposobem mówienia. Miało to podkreślić iż język białych jest jej obcy, że się go tylko nauczyła. Zamysł dobry — wykonanie fatalne, chwilami śmieszne.

Obok wyżej postawionych zarzutów chciałbym podkreślić kilka po-

Nabyć, czytać, nie czytać?..

Broszkiewicz Jerzy „Oczekiwanie”, Warszawa 1948 „Wiedza”, str. 296

Książka Broszkiewicza jest trudną lekturą dla dzisiejszego czytelnika. Za bliskie to jeszcze czasy, które autor przedstawia z wielką dbałością o prawdę — nie tylko artystycznym wyrazem ale i obiektywnej rzeczywistości. Ta bliskość powoduje rozdwojenie uwagi czytelnika. Obok świadomości biorącej udział w zmianach losu bohaterów powieści — istnieje jeszcze druga świadomość kontrolująca prawdziwość opisywanego z tym, co tak żywo jeszcze tkwi w pamięci, świadomość, która cofa się przed dotknięciem najboleśniejszych przeżyć po raz wtóry. Więc książka Broszkiewicza jest trudna. Wprowadza nas w koszmarny okres 1942 roku, kiedy Niemcy „na całym froncie” rozpoczęli likwidację Żydów. Akcja powieści rozpoczyna się w styczniu, by przez 12 rozdziałów — miesięcy, doprowadzić do wiadomego końca. Dzielnica dużego miasta, będąca półzamkniętym ghettem to teren, na którym poznajemy ludzi. Ludzi przeżywających najstraszliwsze w świecie oczekiwanie — oczekiwanie na nieodwołalną śmierć. Ludzie ci chcą wierzyć, nie chcą uznać takiej niezrozumiałej prawdy, że można tak po prostu skazać ich na śmierć. Profesor Grynszpan mówi w sierpniu do Bergmanowej: „Ale, proszę pani, czy znają się ludzie, którzy pojma sens tego wszystkiego? Pani się zdziwi, gdy powiem, że nie wierzę w to i że właśnie dlatego ośmielam się jeszcze wierzyć w dobroć i sprawiedliwość.

Ci, którym historia przeznaczy rolę sędziów, zatrzymują się w połowie drogi. Im zabraknie wyobraźni. Dojrzała statystyka, statystyka przeraża ich i... i na tym koniec”. I to jest prawda. Dział świadomości ludzka cofa się przed obiektem całej rzeczywistości tamtych dni. Powieść Broszkiewicza przełamie to zahamowanie. On — nie robi tego brutalnie. Dyskretnie, doskonały umiar, mistrzowska wprost technika przemysła — to aparat autora, którym stwarza wizje tak sugestywne, że trudno z nim pozostać, a nie można się od nich uwolnić. Nie ma w tej książce okrucieństw. Na punkt sanitarny przywołują pobiel — ale nie widzimy ich. Kierownik pogotowia doktor Grossmeler zapisuje w swoim zeszycie jeszcze jeden „wypadek frontowy”. Nie widzimy prawie Niemców, ale wtedy kiedy się ukazują są jacyś irracjonalnie groteskowo straszni, jak roboty z precyzją wykonują swe zadanie.

I Polaków jest niewiele: koledzy Stefana Bergmana, szofer Kolenda, inżynierstwo Gadomscy. Są to ludzie, którzy chcą iść z pomocą tym odseparowanym od świata, którzy chcą zwać mur dzielący obie strony, wyrównać różnice i którzy nie umieją a może nie chcą zrozumieć tej prawdy, którą wypowiada Stefan na kilka dni przed swą odważną śmiercią: „Tylko jedno: wy także, wy istotnie możecie, wy walczycie, więc możecie ulec każdej zbrodni. Ale — te słowa powleczł szybko — ale my? my przecież musimy. Nie: możemy. Musimy! I to każdy.

Tak! każdy! Podług prawa, co?” Było to stwierdzenie istniejącego przedziału: wy i my. Tę gorzką rzeczywistość bezwzględnego osamotnienia w śmierci przedstawia każda karta powieści.

I to jest może najtrudniejsze w książce Broszkiewicza. Trzeba podziwiać odwagę autora, który tak śmiało postawił to zagadnienie. Trzeba uznać jego rzetelność i uczciwość w niecofnięciu się w połowie drogi przy malowaniu koszmarnych rzeczywistości. Trzeba z podziwem przyznać doskonałość techniki, która pozwoliła mu bez brutalności i patosu stworzyć świat precyzyjnie prawdziwy, bez drobiazgowej analizy psychologicznej przedstawie ludzi żywych. I może chwilami ma się pretensję do talentu pisarza. Może chciałoby się, aby ten świat był mniej prawdziwy, a ludzie nie tak plastycznie żywi, bo wtedy nie byłoby potrzeby przywłaszczania się do nich i przeżywania z nimi wszystkiego aż do końca. Bo może wtedy łatwiej czytałoby się tę książkę.

G. M.

Ida Kotecka „Jeśli kto pragnie...” — Rozmyślenia eucharystyczne. Wyd. Św. Krzyża w Opolu, 1947 r. str. 160.

Wznówione wydanie książki Idy Koteckiej, ukazujące się w starannej i dość estetycznej szacie zewnętrznej jest zbiorem 31 krótkich rozmyślań na temat tajemnicy Eucharystii. Zasadniczą wartość książki polega na uświadomieniu konieczności oparcia życia codziennego —

zarówno w dziedzinie wewnętrznego wzrastania w Łasce — jak i zwykłego, szarego kontaktu z każdym człowiekiem i z każdą pracą — w słowach, nakazach i radach Chrystusa zamkniętych w Ewangelii. Tytuł i kręgosłup każdego rozmyślenia stanowią słowa Pisma Św. Książka zbliża do Chrystusa. Pomaga nawiązać bezpośredni kontakt z Bogiem, obecnym w duszy. Uczy stosunku dziecięcego do Eucharystii, uczy miłości, pokory i zaufania. Rozmyślenia fragmentami może wielu — zwłaszcza tym, którym trudno się modlić, nasunąć głębokie myśli i refleksje. Może skłonić do nowych przeżyć, pomóc w zrozumieniu wartości Eucharystii, odpowiedzialności osobistej za otrzymaną Łaskę w rozwiązaniu problemu stosunku do każdego człowieka. Może nauczyć prostej, uczuciowej modlitwy. Na tym polega jej wartość, ale w tym także tkwi jej zasadniczy błąd. Rozmyślenia mają charakter wybitnie uczuciowy, miejscami nawet sentymentalny. Bardzo wiele w nich indywidualizmu, a mało teologii. Zdecydowanie za dużo rozmyślań nad sobą i własną nędzą. Praca wewnętrzna musi polegać na wyzwalaniu się z siebie, na wychodzeniu z własnej, ciasnej kapliczki do wspólnoty Mistycznego Ciała Chrystusa — Kościoła.

Niezmiernie brak w pracy Koteckiej powiązania Eucharystii z całością życia liturgicznego. Mimo twier-

dzenie przedmowy, że Eucharystia jest ogniskiem liturgii katolickiej — rozmyślenia ograniczają się do kontemplowania Sakramentu w oderwaniu od całości życia liturgicznego. Szczególnie trudno jest przyjąć oddzielenie Komunii Św. do Ofiary Mszy Św. Autorka pomija fakt, że nieobecność na Mszy Św., wspólne z kapłanem ofiarowanie Chrystusa i siebie, adoracja Chleba Przeistoczonego słowami modlitwy mszalnej — to najlepsze przygotowanie do przyjęcia obecnego Boga. Codziennie Post communio omówione razem z kapłanem ma prawo przerwać osobistą adorację. Obiektywna, społeczna modlitwa Kościoła odrywająca nas czasem od bardzo uczuciowych przeżyć — włącza nas najpełniej w życie Mistycznego Ciała Chrystusa. Nowa Encyklika Ojca Św. — „Mediator Dei” — (20.XI.1947 r.) wzywa wszystkich katolików do najpełniejszego życia liturgicznego. Nie stety praca Idy Koteckiej jest od liturgii daleka. Wiele w niej także nierówności; obok powtarzających się w swojej strukturze partii uczuciowych nie brak poważnych myśli. Miejscami razi wadliwą terminologią i kwietyzmem.

Z tym wszystkim jednak — „Jeśli kto pragnie...” książka Koteckiej może mu pomóc w znalezieniu Boga i w nawiązaniu z nim osobistego kontaktu.

M. W.

„CZERWONE ŚLEDZIE”

Perorowałem jeszcze w Polsce: konstytucja angielska nie polega na tym, że istnieje Izba Gmin, Izba Lordów, ministrowie i król, lecz na tym, że naród ten potrafi się dzielić na dwie partie. Utrzymywanie się systemu dwupartyjnego — oto jest istota konstytucji angielskiej.

Nie domyślałem się nawet wtedy, jak wielką prawdę zawierała ta uwaga. Była to jakby ścieżka wiadująca do rozpoznania tego wielkiego faktu, że życie publiczne Anglii opiera się nie na formach prawnych, lecz na genialnej rzadności tego narodu. Powiadam: „genialnej”... Trudno — już w pierwszym swoim felietonie powiedziałem, że o Anglii mówić trzeba ciągle w superlatywach. Albo bardzo źle, albo bardzo dobrze.

Anglia nie jest krajem praworządym, Anglia jest krajem rządym. Ucząc się w podręcznikach prawa państwowego, że w Anglii nie ma konstytucji pisanej i że cały mechanizm ustroju angielskiego działa tu nie na podstawie ustawy, lecz na podstawie obyczajów, nie zgłębiały dostatecznie tych faktów. Dopiero po siedmiu latach pobytu w tym kraju zaświtała w mej łacińsko-polskiej głowie myśl, że przecież prawo nie jest ani celem, ani dobrem samym w sobie, a tylko środkiem, a czasami nawet tylko złem koniecznym. Na myśl tę wpadłem dopiero w Anglii, gdyż na kontynencie europejskim nie mogło się we mnie zrodzić podejrzenie, że można narodami rządzić bez stałych i sztywnych norm obowiązujących.

Oczywiście nie należy przypuszczać, że Anglia jest krajem, w którym prawo w ogóle nie jest potrzeb-

ne i że ludzie biegają tu po ulicach w stanie błogiej anarchii. Ale — powtórzę: zmysł rządności góruje tutaj nad zmysłem praworządności. Postaram się to wytłumaczyć na przykładach: oto w kilka miesięcy po zawieszeniu broni sądzono tu Joycea, tak zwanego lorda Hau-Hau, Anglika, który przemawiał przez radio niemieckie podczas wojny. Ponieważ, jak wiadomo, nie ma tutaj nie tylko pisanej konstytucji, lecz i kodyfikacji praw, więc oskarżano Joycea na podstawie prawa z XIV wieku z czasów, gdy u nas panował Ludwik węgierski, oraz Olgierd i Kiejstut, a które obiecuje szubienicę temu, kto podczas wojny „przeszedł na stronę nieprzyjaciół swego króla”. W czasie procesu, obrońcy Joycea uchwycili się argumentu, że Joyce żadnego króla nie miał ponieważ urodził się w Nowym Jorku i jest Amerykaninem. Okazało się to igrzastwem i Joyce bez dalszych kłopotów został obwieszony, ale czy sądzicie, że gdyby to była prawda, sąd angielski wypuściłby Joycea na wolność, tak jak niegdyś wypuszczono na wolność w cesarskiej Rosji zamachowczyńnię Wierę Zasulicz, ponieważ ława przysięgłych wydała werdykt niewinniającej? Broń Boże, powieszonoby go pod innym jakimś pretekstem.

W Madrycie stoi na ulicy trójkolorowy wielkomiński sygnał do regulowania ruchu na jezdni i obok stoi policjant. Słońce pali nieprzytomnie, jak w piekle, asfalt jest całkiem miękki od promieni, policjant półprzytomny od gorąca, a tłum ludzi, stojących za policjantem i czekających, aż policjant na podstawie zapalenia się odpowiedniego światła pozwoli im zrobić te sześć kroków przez jezdnię, jest spotniały zmęczony i klnie sygnał i policjanta. Co najważniejsza: na horyzoncie nie ma ani jednego pojazdu i ci ludzie mogliby nieomal przesnąć się na jezdni bez żadnego niebezpieczeństwa, poza porażeniem słonecznym oczywiście. Ale policjant czeka, aż się zapali czerwono i tak samo zachowywałby się policjant w Polsce. Tu w Anglii ludzie na ogół słuchają sygnałów ulicznych bez pomocy

policjanta, ale też przechodzą ulicę, gdy można, nie zwracając uwagi na żadne sygnały i żadnemu policjantowi nie przyjdzie do głowy go w tym kępować.

Rządność Anglii tak w rzeczach małych, jak wielkich jest tak duża, że nie wytrzymuje żadnego porównania nie tylko z masowym obłędem Niemców, lecz i ze stosunkami w innych krajach Europy. O ile sztuki, smaku, gustu francuskiego nie można w ogóle porównywać do sztuki, smaku, gustu angielskiego o tyle Francuzi są w tych dziedzinach wyżsi, o tyle znów w dziedzinie rządności, w dziedzinie życia publicznego, politycznego, w stosunku urzędnika do obywatela i obywatela do urzędnika, Angliki posiadają bezwzględną wyższość nad Francuzami.

I co jest przyczyną tej wspaniałej angielskiej rządności?

Odpowiem tu znów psychologicznie. Rządność ta wynika z tych właśnie cech temperamentu angielskiego, które nas tak irytują, z angielskiej nudy, angielskiego braku temperamentu, z tego nużącego deszczu, który tu ciągle pada i pozbawia wszystko kolorów jaskrawych.

Rządność angielska jest córą braku emocjonalności tego narodu.

Zważywszy bowiem jak bardzo emocjonalność utrudnia politykę. Emocjonalność tłumy, który raz wraz wybucha i daje się kierować tylko uczuciowymi hasłami, co sprawia, że kierowanie polityką narodu z temperamentem przypomina sztukę kierowania żaglowcem podczas burzy, oraz emocjonalność jednostek z ich nienawiściami, zazdrościami, zawziętymi walkami osobistymi, które się przesiłgają do najwyższego kręgu ludzi rządzących i sprawiają, że cały mechanizm rządzenia źle działa.

I oto z polityki angielskiej, z wyborów dyskusji, polemik prasowych element emocji jest tak dobrze jak wyłączony. To tak jak gdyby ktoś mechanizm skomplikowany oczyścił z piasku, który tam się dostał.

Swego czasu, gdy po Paryżu gruchnęła wieść, że w Indochinach za-

bito kilkunastu żołnierzy francuskich, tłumy obległy pałac Burbońców, siedzibę parlamentu i chciały koniecznie premiera Ferry'ego wrzucić do Sekwany. Uratował się uciekając małymi drzwiczkami, przebrany, niepoznany. Teraz związek Anglii z Indiami, Burmą i Cejlonem i Burmą uległ osłabieniu. Nie było nie tylko żadnej manifestacji ulicznej, ale ani jednego artykułu bardziej namiętnego na ten temat.

Brak temperamentu, brak wyobraźni — brak tak dotkliwie w twórczości artystycznej wytwarzają ten wielki zmysł rzeczywistości, na którym się wspiera polityka angielska.

Czerwone śledzie... tak się tutaj mówi z pogardą, gdy ktoś chce opinię publiczną odwrócić od rzeczy istotnych, ponieważ podczas polowań na lisa, tak tu popularnych, śledzie rzucane w poprzek szlaku, którym biegnie lis, znieczulają węch gończych i bałamuca psy.

W czasie wyborów w 1945 r. Churchill, który dla mnie nie jest Anglikiem, ponieważ pali cygara, pije masę szampana i poza tym pełny jest temperamentu wyobraźni, szerokiego gestu, — jak wiadomo wszystkim obiecywał obywatelstwo angielskie: Francuzom w czerwcu 1940, Polakom w 1945 — Churchill rzucił hasło przedwyborcze w rodzaju naszych przedwyborczych o „żydo-masonach”, Wodzem Labourystów, wołał Churchill, jest nie kto inny, jak Harold Laski... cudzoziemiec z pochodzenia, ciemna figura. Oto są na to dowody, oto listy etc.

Konserwatyści postawili wtedy na Churchilla, ale z obrzydzeniem solidaryzowali się z tym „czerwonym śledziem”. Po wyborach, wszyscy: laburzyści z tryumfem, liberałowie z pogardą, konserwatyści z niechęcią do swego wodza i z niesmakiem, uznali, że „czerwony śledź” nie chwycił, że wszystkim się nie podobał i był nawet częścią przyczyną katastrofalnej klęski konserwatystów.

Oto trzy lata rządzą już laburzyści i stosunki aprowizacyjne kraju są

o wiele gorsze niż były w czasach wojny. Irytuje to mnie i pytam się zawzięcie: czemuż do cholery w czasie wojny mogliście przywozić tyle jedzenia, a teraz nie możecie. Przecież wtedy Niemcy topli wasze okręty, jak szaleni, poza tym były one zajęte wożeniem wojska i sprzętu wojennego. Teraz flota jest wolna, a wy głodujecie. Przecież to dopiero powojenny rząd laburzystowski wprowadził karty na chleb, których za czasów lorda Wooltona nie było.

Poza kwestią aprowizacji wszystko jest dziś w Anglii jak najgorzej, rząd laburzystowski nie spełnił żadnej swej obietnicy, a to co zrobił, to jeszcze pogorszyło ogólną sytuację.

Czekam na wybuchy, manifestacje. Nie ma ich. Zwolna, wolniutko ubywa laburzystom głosów przy uzupełniających wyborach do Izby Gmin — to wszystko. Na płomiennie uwagi cudzoziemców, Angliki — zarówno laburzyści, jak konserwatyści mają jednakową odpowiedź:

— Gdybyśmy mieli teraz rząd konserwatywny miałby on te same trudności.

A wreszcie trochę zniecierpliwienia gdzieś tam się okazuje i oto laburzyści z kolei puszczają swego „czerwonego śledzia”. Oświadczają, że przeprowadzą reformę Izby Lordów. Król zapowiada tę reformę w mowie tronowej przy otwarciu parlamentu.

— Cały kraj z niesmakiem odwraca się od tego „czerwonego śledzia”. Wszyscy rozumieją, że Izba Lordów nie miała żadnego wpływu na rządy laburzystów, że w niczym nie mogła im zaszkodzić i że rząd nie zdolawszy nic zrobić, chce odwrócić uwagę opinii publicznej i zająć ją jakąś zabawą nieistotną. Typowy „czerwony śledź” — słyszę zewsząd.

I oto sprawa reformy Izby Lordów zacięła, pomau schodzi z porządku dziennego, zatrze się wreszcie w jakimś kompromisie bez znaczenia.

Zrozummy teraz, że inne narody prowadzone są po swej drodze dzie-

zytywnych stron spektaklu. Przymienniśmy sobie, że istnieje niezalutwany problem murzyński, niektórzy z nas dowiedzieli się o tym, że Murzyni nie są jakąś dziczą, którą trzeba trzymać „za mordę”, że mogą tak jak my być zdolnymi, i że zdolności swoich robić właściwy użytk.

Mieczysław Markowski

owej przez błyskawice wyobraźni i pioruny namiętności. Anglicy siedzą z kredką i liczą: opłaci się, nie opłaci się.

Czasami myślę o tym, że dla powstania wielkich idei potrzeba odpowiedniej aury, klimatu. Dostojewski nie mógłby urodzić się w kraju, w którym nie byłoby Syberii św. Franciszek tam, gdzie nie byłoby ptaków, Michał Anioł w kraju bez ruin i posągów starożytnego Rzymu i Grecji.

Zwróćcie uwagę na życiorys Karola Marksa. — Żyd, urodzony w zachodnich Niemczech, zamieszkały w Anglii, to jest na drodze, którą tytu jego ziomków jechać będzie do Ameryki, to jest do tego kraju, w którym genialnie przez Marksa przeowiedziana koncentracja kapitału świecić będzie takie orgie. Ale naturalne jest także, że w aurze angielskiej dojrzał Marks swoje spostrzeżenie o materializmie historycznym jako jedynej dźwigni robiącej historię. Istotnie, polityka angielska na wskroś jest przesycona względami gospodarczymi i żaden inny kraj nie potrafiłby myślicielem z taką wyrazistością naprowadzić na to odkrycie.

A znowu przychodzi mi do głowy, że polski a raczej polsko-rosyjsko-niemiecki wielki filozof prawa, Leon Petrażycki, nie mógłby w Anglii stworzyć swej znakomitej definicji prawa, rozpoczynającej się od słów: „Prawo jest emocją”...

„Ale wracając od tych tematów, wspaniałych na nizinie poczekalni w biurze urzędowym w Anglii, poczekalni dajmy na to, w londyńskim komisariacie policyjnym, zapytamy

czytelnika polskiego czy się domyśla co może przypominać stosunek urzędnika angielskiego do publiczności, do interesanta? O! wiemy, jak to było w Polsce i jak zapewne dotychczas jest w Polsce. Stosunek polskiego urzędnika do interesanta przypomina albo stosunek oficera do musztrowanego rekruta, albo w najlepszym razie stosunek biskupa do grzesznej ucieczki. W Anglii urzędnik w stosunku do interesanta przypomina portiera hotelowego obsługującego bogatego gościa.

I to jest naprawdę przyjemne w Anglii. To ją znakomicie wyróżnia in plus od Francji, Włoch, Hiszpanii i innych krajów, które znam.

Poza tym krótka konstatacja: W czasie wojny, w najspanialszym hotelu jadło się ilościowo tyle samo, albo mniej, co w garkuchni obsługującej najuboższą dzielnicę miasta. W Paryżu podczas wojny można było za pieniądze mieć wszystko, a i dzisiaj Paryż to raj dla bogatych. Tu odwrotnie. Bogaty nie dostawał nic poza ogólnie wyznaczonymi normami, czarny rynek nie istniał prawie wcale, poza odcinkiem nieśmiałym obsługującym wyłącznie cudzoziemców. Dziś oczywiście zmieniło się dużo na gorsze, zwłaszcza benzyna do aut prywatnych stworzyła swój własny czarny rynek, ale wszystko to razem nie stoi w żadnym stosunku do tego, co się dzieje w Europie. W czasie wojny jednak, kto był bogatszy ten pilniej był pilnowany, aby nie miał nic ponadto, co mu z tytułu kuponów przysługiwało. Pilnowało tego całe społeczeństwo i odstępstwa stanowiły coś zupełnie

wyjątkowego. Królowa nabrała się przeziębienia kąpiąc się w wannie, która przepisowo mogła mieć tylko kilka cali wody gorącej od dna, a kiedy królowa ukazała się w nowej sukni zaraz wydano komunikat, że sukienka ta została zerobiona z sukni, którą królowa kupiła jeszcze przed wojną, przed swoją podróżą do Kanady.

To też gospodynie ze sfer robotniczych żałują dziś czasów wojny. Lepiej się jadło, było taniej, sypianie w podziemiach kolejki podziemnej było interesujące.

Stosunki społeczne są tutaj zupełnie oczywiście inne od naszych. Jeden mój znajomy przestraszył się wprost, a potem się roześmiał, gdy robotnika, który pompował wodę do wiader, usłyszał:

„Ja jestem konserwatystą”. Ten mój znajomy był ziemianinem z kujawskiego a jednak tylko demokratą narodowym. Konserwatystą był dla niego tylko ktoś z Nieświeża, lub Ołyki.

Klasą rządzącą w Anglii jest sklepikarz. Arystokracja, lordowie, to tylko zabawy karnawałowe wewnątrz tego sklepikarskiego społeczeństwa. Co rok nowa „lista honorów” nadaje tu tłumom sklepikarzy tytuły szlacheckie. Uwaga, wyraz „lord” nie oznacza tytułu odrębnego, tylko oznacza, że ktoś posiada tytuł od księcia do barona włącznie z baronetem wyłącznie. Arystokracji w pojęciu europejskim, hiszpańskim, polskim, jak koła ludzi rasowo izolowanych, w rodzaju stada koni arabskich, ze swoistą kulturą, swoistymi pojęciami w Anglii nie ma całkiem. Zdarza-

ją się ludzie, noszący tytuły ze średniowiecza, ale ludzie ci są tysiącokrotnie spokrewnieni z innymi sklepikarzami.

Chesterton napisał, że Izba Lordów to przedstawicielstwo ludzi z ulicy będących korektywą do rządów arystokracji, którą reprezentuje Izba Gmin. Jeśli to kiedyś w ogóle było żartem, to na pewno dziś żartem nie jest. Aby być członkiem Izby Gmin trzeba być jednostką wybitniejszą, bo całkowitych matolów nikt wybierać nie będzie. Natomiast lordowie to istotnie klikuset sklepikarzy bez żadnych pretensji. Zresztą quorum Izby Lordów wynosi 3 członków, a rzadko przychodzi tam na posiedzenia więcej niż pięćdziesięciu. Frekwencja w Izbie Gmin także zawsze jest bardzo nieduża.

Anglia jest republiką kupiecką jak Wenecja w średniowieczu, tylko Wenecja miała olbrzymią kulturę, smak i gust. Tutaj marszałek parlamentu siedzi na worku z wełną, a posłowie zakładają nogi na wielki stół, który stoi pośrodku sali posiedzeń. Wszystko to symbolicznie podkreśla, że Anglia to dawny kantor kupiecki.

Do sztyku należy mieć miliony, ale mieć jednocześnie ciasny, niewygodny, bez windy, lokal na biuro w City. Surowość obyczajów kupieckich — w przeciwieństwie do luksusu Francji, do majestatyczności Rzymu — oto jest dusza Anglii. Oni nawet, jak zbudują największy parowiec na świecie, to starają się, aby wewnątrz wyglądał ciasno i niepokalnie. Przypomnijcie sobie jak stary Bolesław Prus opisuje kupców nie-

mieckich w Warszawie, oszczędnych i skromnych. Zrozumiecie ideał Anglika, żywy w tym narodzie do dziś dnia.

Anglia to republika kupców kontrolowanych przez związki zawodowe. Kupcy ci kiedyś dzielili się na konserwatystów i liberałów. Dziś wszyscy są konserwatystami, aby zachować system dwupartyjny przy którym jedna partia rządzi, druga kontroluje. Liberałowie istnieją, ale z reguły nie zdobywają mandatów, więc się nie liczą.

Istnieją także pariasi w Anglii w postaci inteligencji pracującej, otoczonej ogólną pogardą. Profesor uniwersytetu w Anglii zarabia mniej niż właścicielka budki z papierosami.

Los inteligencji angielskiej to los korepetytora, którego wziął szewc do kształcenia swego syna. Zarobki inteligencji graniczą z nędzą. Płace „robotników w białych kołnierzykach” jak się tu mówi o pracownikach bankowych i ludziach podobnych wynoszą niewiele więcej od stawek wypłaconych bezrobotnym.

Francja ma swoją „Akademię Francuską” będącą centrum towarzyskiego snobizmu, w Niemczech „Herr Doctor” zawsze coś znaczył, w Polsce od stu lat profesor Uniwersytetu pod pachą chodził z hrabią, w Rosji carskiej klasa urzędnicza, a więc inteligencja była klasą rządzącą, w Rosji obecnej pisarz, aktor, artysta jest wysoce szanowany. W Anglii jest inaczej.

q. m.

Felicja Lilpop-Krancowa

Pamięci Bolesława Micińskiego

„Dobrze sądzić, to znaczy dobrze czynić.” (Sokrates)

W Grenoble zmarł 30 maja 1943 Bolesław Miciński. Od dawna chorował ciężko na płuca, ale mocny jego organizm tylekroć już wychodził zwycięsko z najgroźniejszych — zdawałoby się — ataków gruźlicy, tyle wydanych na siebie przez lekarzy wyroków uniknął i czujność ich zmniejszyła, że pozwolili nam, przyjaciółom wierzyć w to, w co sam chciał wierzyć tak gorąco — że się nie da, że przetrwa i że odnajdziemy go znowu po latach rozłąki takiego, jakim znaliśmy go zawsze, najszlachetniejszego i najdroższego z przyjaciół.

Nie są znane szczegóły ani ostatnich chwil jego życia ani warunków, w jakich się wraz z rodziną znajdował od czasu, gdy przestała istnieć we Francji „zone libre”, a Grenoble znalazła się najpierw pod niemiecką, a potem pod włoską okupacją. Komunikacja pocztowa ustała bowiem zupełnie i trzeba było dopiero, by się rozegrał ostatni akt tej tragedii, aby imię Bolesława Micińskiego, już do innego lepszego świata należące, pojawiło się tutaj między nami.

Bolesław Miciński urodził się dn. 23.IV.1911 roku w majątku Mokra na Podolu. Studia średnie odbył w gimnazjum klasycznym w Bydgoszczy i w Warszawie. Na Uniwersytecie Warszawskim studiował filozofię ścisłą pod kierownictwem prof. Tatarkiewicza i uzyskał w r. 1937 stopień magistra. Pracę literacką rozpoczął w „Kwadrzyde” w r. 1931 w 1935 objął dział krytyki poetyckiej w „Prosto z mostu”. Później pracował nad rozprawą doktorską o Wiktorsie Cousin, Notatka niniejsza na małej karteczce papieru, opatrzona także w fotografię, dołączona została do wydanej w r. 1937-ym niedużej książeczki „Podróż do piekieł”. Obok drukowanych w tygodnikach literackich artykułów i esejów (ostatnie ukazały się w „Wiadomościach Polskich” w Paryżu w r. 1940) jest to jedyna wydana praca. Nie

jedyna wszelako, jaką napisał. Zważywszy młody wiek i zważywszy chorobę, która nieraz na wiele miesięcy przykuwała go do łóżka w sanatorium — Miciński pisał dużo, pracował zaś bez przerwy. Zaczął jako poeta, ale potem z pewnym lekceważeniem sam się o własnych

wierszach wyrażał, — „Zbiór esejów i studiów” filozoficzno-krytycznych, złożony był do druku w Warszawie, przed samą wojną. We Francji w 1941-ym roku powstała praca o Karcie i szereg szkiców, na które powołuje się w listach.

Jak określić „Podróż do piekieł”,

F I L M

NA POGRANICZU SZMIRY

Recepta: wziąć głosem aktora i aktorkę, dorzucić kilka tricków i gagów, dodać jazzu, zamiaszać, dodać do smaku namiętności, wszystko podlać lekko sentymentalnym sosem, kręcić do chwili, gdy utrze się na lekko strawną bajkę. Pozostawić do dyspozycji M. P. E. A. — Co to jest? Przeciętny film amerykański z tych, które dotychczas docierały do nas.

Spróbujmy rozebrać taką bajeczkę i pozostawić ją bez obsłonek. Cecil B. De Mille kiedyś, gdy była poruszana sprawa obsady nowego filmu jędrnie sprecyzował swoje stanowisko mówiąc: Trzecie nazwisko? — Poco? Jeśli ktoś nie potrafi sprzedać filmu gdzie jest De Mille i Cooper nie jest kupcem, a „hajzową oflegą”. Otóż to właśnie. Fundamentem, punktem wyjściowym przy produkcji nie jest jakieś założenie artystyczne, ale nazwisko, które ściągą tłumy. Aktor nie musi dobrze grać — wystarczy by był zdrowym, przystojnym okazem płci męskiej. Aktorka musi być ładna, mieć wąską kibić i ładnie toczące nogi — czasem również wystarczy dobrze zasłużyć się producentowi i posiadać walory niekoniecznie filmowe (patrz historia Jane Russell i filmu „Outlaw”). Cenzura amerykańska dbała o moralność obywateli stworzyła rozliczne „tabu” mające przeciwdziałać rozluźnieniu obyczajów promieniujących z ekranu. W wyniku powstają przedziwne absurdy. Nie wolno pokazywać morderstwa, ale sceny takie są urywane tuż orzeczonym zabójstwem, w chwili gdy akcja dokładnie podsuwa widzowi jej zakończenie, a wyobraźnia prowokuje obrazy w efekcie o wiele przewyższające założenia scenariusza. „Kryminały” są zresztą jednym z najbardziej ulubionych przez producentów rodzaju twórczości. Rewie operują setkami obnażonych „girls” —

ale Margaret Lockwood musiała niekiedy ze scen w filmie angielskim „Wicked Lady”, gdy szedł on do Ameryki, nagrywać po raz drugi gdyż uznano, że jej stylowe toalety ukazują zbyt wiele.

Dalej, podstawą jest możliwie najwspanialsza, najdroższa wystawa (jedna z sukni Rity Hayworth kosztowała 20.000 dolarów — „tis great” mówią Amerykanie i biegną oglądać) oraz wszelkiego rodzaju gagi i tricki. Bez nich obraz nie byłby „na poziomie”, one stanowią przynajmniej w połowie o jego wartości. Specyficzny jest też i rodzaj humoru. W jednej z komedii amerykańskich subtelny dowcip wydobywany jest za pomocą przedstawienia sceny, w której młody człowiek tańczy jakieś „bugiugu” tak zreżymie i wysoko podnosząc nogi, że uderza nimi w podbródek jego „in ape” teściowej. (Zresztą występem swoim podbija serce narzeczonej, która w happy endzie rzuca mu się na szyję).

Treść i postacie są zawsze niezwykle, w każdym z nich jest coś z bajki o Kopcuszkę czy Rinaldo Rinaldini. Bohaterzy są piękni i zwycięscy, wszystko im się udaje. Po wielu perypetiach dzielny paź poślubia ukochaną królową z milionami — może być odwrotnie, to nie gra roli.

Przeciętny obraz amerykański nie uczy, nie daje wrażeń artystycznych. Zaspakaja potrzebę ucieczki w krajną baśń, oderwania się od zmęczającego życia, przeżycia pięknego snu. Potrzeba okłamania siebie.

Nie stawiając sobie artystycznych czy ideowych założeń, nie szukając rozwiązań, nie tworząc niczego, wielka bajka okazuje się pustą historyjką. Przy całym bogactwie środków, nakładzie pracy i pieniędzy zamierzono przebolewać w realizacji przybierając kształt sztucznie zlepionych szmir.

Refleksje te powstały na fle fran-

ten jedyny w swoim rodzaju utwór, gdzie mądrość sądów, zadziwiająca erudycja i poetyckie piękno języka składają się na całość tak czarowną i olśniewającą, że wrażenie, jakie się z tej lektury odbiera, tym tylko mogło się wydawać nieobce, którzy, znając Micińskiego bliżej, zawsze najświetniejszych rzeczy po nim się spodziewali. Olśniewał on inteligencją, zniewalał czarem osobistym. Skromny, jak każdy prawdziwy artysta, namiętnie uczuciowy i pełen głębokiej powagi, mistyk i myśliciel — Miciński rozciągał wokół siebie tego samego gatunku „rayonne-

ment” co Szymanowski, co Pankiewicz, których przyjaźń tak sobie cenił.

O jego karierze naukowej niewiele niestety mogę powiedzieć: dziedziną filozofii ścisłej jest mi zbyt niedostępna, by choć w przybliżeniu wykazać dorobek Micińskiego na tym polu. Wiem, że wkrótce po ukończeniu wydziału został asystentem filozofii na Warsz. Uniwersytecie, że przez rok wykładał w gimnazjach — co mu pozwoliło bliżej zapoznać się z „zagadnieniem dzisiejszej młodzieży”, o której pisze w listach nie bez gorczy. Dochodziły mnie także słuchy o jego znakomitych odczytach.

Lata studenckie Bolka — bo tak go nazywaliśmy wszyscy — kiedy to równie często jak w Kole Filozoficznym spotkać go było można, w towarzystwie siostry, na koncertach w Warszawskiej Filharmonii — kojarzą mi się w pamięci z postaciami Krońskiego, kolegi z filozofii, pisarza Uniłowskiego i poety Miłosza, z muzykami Maciejewskim i Małcużyńskim. (Szymanowskiego nade wszystko uwielbiał), z malarzem Czapskim, z Tarnowskim. W sztuce swojej uważał się poniekąd za ucznia Wittlina, — zachwycała go filozoficzna myśl St. I. Witkiewicza (we Francji, dowiedziawszy się o jego śmierci, zamierzał poświęcić mu dłuższe studium, lecz z braku materiałów odkładał to na później), z Jerzym Stempowskim łączący go więzy najbardziej może istotne — i zesztoroczny przyjazd „pana Jerzego” ze Szwajcarii do Grenoble, niestety na kilka dni tylko, komentowany był przez całą rodzinę Micińskich jako wydarzenie niezmiernie doniosłe.

Wiosną 1938-go przyjechali Micińscy, jako młode małżeństwo do Francji. Oboje otrzymali wówczas stypendia na dalsze studia i postanowili odbyć je w Grenoble, z profesorem Chevalier, nie przeczuwając w jak odmiennych warunkach znajdą się w tejże Grenoble w niespełna trzy lata później. Wojna zastała ich w Warszawie. Ewakuowani dokądś na wschód z dyrekcją Polskiego Radia po długich kolejach przez Wilno i Szwecję

Lecze.

(Dokończenie na str. 16-tej)

Ludzie, którzy nie wiedzą, że ten niewinnie wyglądający jegomość jest dobrze znanym w pewnych kołach „Matyldą” patrzy na niego bez śladu zainteresowania, a nawet bywają skłonni lekceważyć go troszeczkę.

Zdarzały się wypadki, że ten lub ów, z jego „cywilnych” znajomych wręczał mu z tajemniczą miną konspiracyjną gazetkę. Wówczas nie bacząc na uśmiech politowania, starszy pan odsuwał ją stanowczym ruchem od siebie. „Ja tego nie czytuje” — mówił — „nie chcę mieć nic wspólnego z tak ryzykownymi sprawami. Na pewno nie czegoś tam nie napisano, czego bym sam nie mógł wymyślić, gdybym się interesował polityką”.

Bystry obserwator zauważyłby w takich razach, że na dnie inteligentnych oczu pana R. błyska złośliwy, łobuzerski uśmiezek. Ale na szczęście wyraz twarzy nie może służyć za corpus delicti.

Tymczasem twarz Matyldy, jakkolwiek bardzo ściśle podporządkowana jego woli, zdolna jest obudzić pewne podejrzenia.

Jest to twarz duża i szeroka o szerokich, wąskowargich ustach i silnie wysuniętej do przodu brodzie. Ponad wydłużoną, zawsze wygoloną do czysta górną wargą, zwisa nos, skrzywiony nieco w lewo o końcu tępy i mięsistym. Na jego wąskim grzbiecie, tworzącym u podstawy czoła nieregularny garb trzęsie się zabawnie przekrzywione pincenez, spoza którego szkieł patrzą przenikliwe oczy blade, chłodne, przenikające ludzi kpiąco i bez złudzeń, wyrażające wielką pewność siebie i głęboką świadomość celu własnych słów i czynów.

Tym co służyli w wojsku, owo spojrzenie narzuca nieuchronnie pewne skojarzenia.

Jowialność połączona z nieustępliwością, z nawykiem kruszenia cudzej woli bez marszczenia brwi i bez porzucania ojcowisko-kołżeńskiego uśmiechu... ten styl jest kunsztem zawodowym pewnej klasy ludzi. Czyżby pan R. był pułkownikiem sztabowym?

Kiedy się z nim rozmawia, przypuszczenie takie wcale nie wydaje się nieprawdopodobne.

Oto co zeznaje:

Ja powinienem wiedzieć co się stało z Wolfem. Jako jego szef powinienem być najbardziej miarodajnym źródłem informacji. Prawda?

Tego się pan po mnie spodziewa. Więc niestety nie wiem nic. Bardzo mi przykro, ale nie wiem. I niestety narazie nie widzę możliwości wyjaśnienia tej sprawy. Bo proszę pana — fakt, że nic nie wiem, to jest już wynik pewnej pracy myślowej, pewnych poszukiwań. Rozumie mnie pan?

Jeśli do jakiegoś zagadnienia podchodzi się z zupełną nieświadomością, z całkowitą pustką w głowie, wtedy każda hipoteza wydaje się równie możliwa, w szczególności jeżeli jest dla nas wygodna. Ale proszę pana, jeżeli ma się w ręku szereg nici i żadna z tych nici nie da się powiązać z rzeczywistością, wtedy dopiero sytuacja staje się bezna dziejna.

Otóż proszę mi wierzyć, tak właśnie rzecz się ma w naszym wypadku. Poszlaki są, owszem. Z chwilą kiedy ktoś zostaje zamordowany, każdy jego poprzedni postępek nabiera pozorów poszlaki. W konspiracji... Ale nie. Dajmy spokój uogólnieniom. Poszlaki są, oczywiście. I jeżeli chodzi o hipotezę — mogę panu służyć, jedną i drugą i trzecią... tak. Nic tak nie myli, jak hipotezy ludzi mia rodajnych, prawda? Niech pan będzie uprzejmy traktować moje domysły na równi z domysłami innych świadków — dobrze?

Bo widzi pan, tutaj moim zdaniem odpowiedzialność i wina leży gdzie indziej niż chciałoby się jej szukać. W pierwszym momencie odpowiedź narzuca się po prostu za ma: Wolf był poszukiwany przez Gestapo; Wolf był śledzony przez Andrzeja, swojego byłego współpracownika; Wolf był często (stanowczo za często) w Krakowie i widywał się z ludźmi, którzy Andrzeja znali; ba! nawet raz spotkał się z Andrzejem i rozmawiał z nim. Tak proszę pana — do takich kawałków był zdolny. No i ostatecznie Wolf został zabity. Przez kogo? — Przez Gestapo, prawda?

Otóż nie. Nie przez Gestapo. Zaznaczam, że kategoryczność tego twierdzenia, jest moją prywatną sprawą. Byłbym szczęśliwy, gdyby ktoś potrafił mi udowodnić, że się mylę. Proszę jednak wziąć pod uwagę okoliczność że mam w tych kwestiach pewne doświadczenie.

Gestapo ma swój styl narzucony celowości jego poczyni. Nawet warianty stosowane dla zmylenia ofiary nacechowane są pewnym szablonem. Zauważył pan?

Ja znam te rzeczy i śmiem twierdzić, że trudno mnie wprowadzić w błąd.

Owszem bywały wypadki, że gestapowcy udawali partyzantów. Przychodzili wtedy ze stenami i klęli na Niemców, ale nie zapominali nigdy zrobić rewizji.

Czy pan wyobraża sobie gestapowca w przebraniu jędrusia, który nie rozmawia o polityce i nie robi rewizji?

Zresztą komedijkę odgrywa się wtedy, jeżeli nie można zadania wypełnić po prostu. Ale jeżeli chodzi tylko i wyłącznie o skończenie człowieka, niepotrzebne są żadne ceremonie.

Po Wolfa przyszło pięciu ludzi. Jeden z nich był podobno w polskim mundurze. Zjedli kolację, zapytali Wolfa od niechęci co robi we dworze, a potem powiedzieli mu, żeby szedł z nimi. Poszedł i został zabity. Nikt we dworze nie był indagowany, nie nastąpiły żadne aresztowania. Dopiero w tydzień po zabójstwie zjawiała się żandarmeria, która jedynie stwierdziła prawdziwość faktu i poza tym nie zainteresowała się istotą sprawy.

czy nie jawnej soldateski. Ale to jest głupstwo. To nie wchodzi w rachubę. Przy zwłokach Wolfa znaleziono zegarek, portfel, pierścionek, nikt nie zdjął mu butów, rozu mie pan, o rabunku nie może być mowy.

Więc, jak już powiedziałem przed chwilą, Wolf przyczynił się znacznie do ukrócenia pewnych anomalii przejawiających się w podokręgu. Pan pojmuje, że nie mógł tego dokazać, siedząc w fotelu i czytając książkę. Prawda?

Musiał ruszać się, gadać z ludźmi, myśleć, dowiadywać się co w trawie piszczy.

Ale, proszę pana, musiał działać zupełnie sam. Widzi pan, to jest jedna z zasad przy takiej robocie. Zabroniłem mu kontaktów z terenówką. Tak, to są sprawy techniczne, proszę się nie dziwić.

Jednym słowem Wolf był w niewygodnej sytuacji, mogącej narazić go na nieprzyjemności. Musiał być bardzo ostrożny, taktowny, dyskretny...

Bardzo możliwe, że nie dosyć skrupulatnie trzymał się tych zasad. Możliwe... Więc już — prawda, — mamy jedną hipotezę. Proszę też wziąć pod uwagę, że we dworze, w którym mieszkał, przedstawił się jako Wolf i że ogólnie przyjęto, że on tak się

i pewnych siebie ową niechęć do okrażania, podchodzenia, czatowania...

Właśnie to mam na myśli. Dajmy na to, trzeba było rozpoznać jakiegoś niepewnego jegomościa. Wszelkie podstępny, wszelkie ha czyki zawodziły. Zdawało się, że już nie się nie da zrobić. Otóż proszę pana Wolf, wbrew wszelkim przyjętym kanonom gry, potrafił pójść wprost do gościa. I niech pan sobie wyobrazi, że to przeważnie dawało rezultaty. Mówię ogólnie, o takim właśnie stylu postępowania. Rozumie pan? — Jakiś na przykład obiekt bardzo strzeżony... prawda? Trzeba szukać informatorów, pośredników, którzy znają kogoś, co zna takiego, który mieszka w pobliżu itd. itd. Żmudna historia. Wolf proszę pana siada na rower i z niewinną miną jedzie na miejsce. Bo to jest najprościej. O — taki właśnie rodzaj prostoty. Ryzykowny, racja. I dlatego właśnie powiedziałem, że Wolf mógł sobie sam zawinąć. Pamięta pan?

Podejrzewam, że zawierał ostatnio różne niepotrzebne znajomości. Wszelko z powodu tej obsesji leśnej. Bo on, proszę pana, był uparty, jak kozioł.

Zgodził się wprawdzie z wielkim bólem, że zostanie u mnie, ale jestem przekonany, że nie zrezygnował z tamtego. Nie mogę go za to ganić. Potrzeba bohaterskich przeżyć jest świętym prawem młodości; — można by się tak górnolotnie wyrazić, — prawda? Ja w jego wieku... no ale to byłoby gładzenie starego wujaszka. Ja już jestem stary proszę pana. Tak, tak, w każdym razie „starszawy”.

Wolf uważał, że „gnije”. Okręg nieustannie korzystał z jego pracy, a ten rwał włosy z głowy, że gnije. Tłumaczyłem mu: panie, czy to jest taka wielka przyjemność własnoręcznie zabijać Niemców.

— Nie chodzi o przyjemność — mówił.

— Więc o co chodzi?

Muszę zaznaczyć, że Wolf był uczciwym, rozsądnym chłopcem i nigdy nie używał szumnych słów.

— Chodzi o to, żeby widzieć efekt tego co się robi.

— To znaczy, że widzenie „efektu” da panu większą satysfakcję.

— Większą.

— No, a satysfakcja to jest przecież przyjemność.

Takie sokratyczne rozmowy prowadziliśmy stale w ostatnich czasach.

Miał biedak zupełne prawo żądać swojej przyjemności. I ja też miałem pełne prawo odmawiać mu jej „w imieniu służby” — jak brzmi stara, szlachetna formuła. Ponieważ nie mógł przenieść się służbowo, robił pewnie jakieś starania na własną rękę. Może obudził podejrzenia? Może trafił na niewłaściwych ludzi?

Niejeden z miejscowych kacyków miałby powody krzywo patrzeć na Wolfa. Pamięta pan, co mówiłem o meksykańskich czasach powiatu i o pracy Wolfa nad wyjaśnieniem stosunków. Może uznano go za niebezpiecznego człowieka?

Gdyby w czasie swojej ostatniej bytności w Krakowie Wolf spotkał kogoś z placówki, wiedzielibyśmy prawdopodobnie wszystko. Prawdopodobnie sprawa nie skończyłaby się tak tragicznie.

Wolf miał konkretne powody do obaw. Świadczy o tym kartka napisana przez niego przed śmiercią i doręczona pannie Dorze. „W razie mojej śmierci...”

— Więc przewidywał.

Prawda, jakie to bolesne — ta ostatnia wola, i to poprzednie, zagubione — przez nikogo nie odebrane S.O.S., prawda? I zupełna niemożność ustalenia ostatecznych powodów.

Jaka grupa stała wtedy w pobliżu majątku? To by mogło coś wyjaśnić. Otóż nie stała żadna. Może przechodził jaki oddział, może tych kilku ludzi, to był specjalny patrol egzekucyjny. Może, może i może... Tu urywają się wszystkie konkretne poszlaki. Jedno wydaje się pewne: że to nie Gestapo i nie Andrzej. Sam Wolf zaznaczał parokrotnie z naciskiem, że nie czuje się zagrożony ze strony Andrzeja.

A dla mnie proszę pana to przekonanie ma wielką, osobistą wagę. Gdyby nie ono, moje samopoczucie w sprawie Wolfa byłoby okropne. I takie też było w pierwszym momencie, kiedy się o wszystkim dowiedziałem. Bo proszę pana, bo... No na szczęście już nie ma żadnego znaczenia. Na szczęście, ta historia nie należy do sprawy.

Dalszy ciąg nastąpi

J. J. Szczepański

Przyczynki do Sprawy Wolfa

2

Czy pan w tym wszystkim widzi Gestapo? — Ja nie. Mimo najlepszych chęci. Bo proszę pana — to by było lepiej. Prawda? Lepiej dla Wolfa, (o ile można tak powiedzieć), lepiej dla jego matki... w ogóle lepiej, no nie? Zabity przez Gestapo. Każdy wie co o tym myśleć. Ludzie nie są skłonni wierzyć w tragiczne omyłki. Ja zresztą też... właśnie w tym wypadku...

Nie, nie — zastrzegam się od razu, niech pan nie dopuszcza nawet do siebie myśli, że mógłbym mieć co do Wolfa jakieś podejrzenia. Broń mnie Boże.

Moją wielką, prawdziwą troską jest, żeby ustrzec pamięć tego człowieka od wszelkiej możliwej krzywdy.

Ale, proszę pana, wszystko wskazuje na to, że Wolf został zabity przez jakichś „leśnych”. Jakich? Dlaczego? Tu właśnie leży zagadka. I znowu są pewne poszlaki. Poszlaki, pozbawione najważniejszych, końcowych ogniw.

Trzeba znać trochę stosunki, które w ubiegłym roku panowały w tamtym powiecie. To był istny kocioł proszę pana — istna dżungla, służąca za poligon najrozmaitszym ambicjom partyjnym i prywatnym.

Władze centralne nie mogły utrzymać kontroli nad tym co się tam działo były bezsilne wobec rozszalałej „inicjatywy” lokalnych królewiat.

Tak. Ogłoszono manifestami ideowe schizmy, zapowiadano rozmaite „nowe łądy” w kieszonkowych wydaniach, zawierano przymierza i pakt o nieagresji, dzielono się sferami wpływów... Tak, tak, — to nie są bajki: ja tutaj do szyn kolejki wąskotorowej i do Kaczego strumyka, a ty na północ od tej linii demarkacyjnej.

Śmieszne? Nie; tragiczne proszę pana. Taki miniaturowy wódz, posiadający wszystkie razem dziesięciu ludzi, cztery karabiny i jedno „empi” bez muszki, uważał za swoje święte powołanie prowadzić niezależną politykę.

I co najsmutniejsze, że zabawa traktowana była bardzo poważnie. Płynęła krew. Nie tylko od kul żandarmerii. Z czasem udało się te sprawy ująć w pewne karby. Właśnie w tej dziedzinie i Wolf położył niemałe zasługi. Przeczerzbiał gąszcz, pozwolił zorientować się w zawiłych stosunkach, zlokalizować niektóre źródła zamętu.

W momencie jego śmierci na terenie powiatu działały już tylko cztery siły. Cztery główne ruchy wojskowe stanowiące przedostatnie stadium redukcji: AK, B. CH., AL i NSZ.

Niestety wszystko to razem, na kupie, w ciasnej przestrzeni i z ambicją — wyłączonego prymatu. Oprócz tego jeszcze tu i ówdzie pojawiali się bandyci, dezertery, wie pan, jak zwykle odpadki wszelkiej jawnej,

właśnie nazywa. To było dość nierozsądne, ale on twierdził, że Andrzej nie zna tego pseudonimu. — Wolf... Wolf, takie teutońskie miano — nie? Nieprzyjemne! Chce pan powiedzieć, że to było karygodne narażenie człowieka, taka zupełna izolacja. Otóż nie. Nie było aż tak źle. Wolf miał możliwość obrony przed ewentualnym zarzutem spłoclostwa. Był pod opieką miejscowej dywersji, miał możliwość powołać się na ludzi, którzy byliby zaręczyli za niego. Dlatego możliwość pomyłki wydaje się znikoma. W każdym razie omyłki z naszej strony. Rozumie pan? I przecież, gdyby do tego doszło, ja byłbym o tym wiedział. Dostałbym meldunek. Więc proszę — znowu jedna możliwość mniej i znowu dalsze hipotezy, — prawda?

Kto? kto zabił?

Ach, proszę pana! Tu Wolf sam musiał coś popsuć, zrobić jakiś fałszywy krok. Ba! robił je stale. Nie ma pan pojęcia jakie miałem z tym chłopcem kłopoty.

Co chwila dochodziły mnie wieści, od których dosłownie skóra cierpiała. Tu odwiedzał Zuzę, tu rozmawiał z Andrzejem, tu znowu wybierał się w podróż ze swoimi dawnymi papierami, mówię panu, zupełnie jak niegrzeczny dzieciak. W końcu przyzwyczaiłem się do tego, że wszystko uchodzi mu na sucho. Są tacy ludzie, no nie?

Ostatnio uparł mi się, że pójdzie do lasu. Za każdym razem nalegał na mnie, żebym dał mu przekazanie. Las i las, w kółko to samo, aż do znudzenia.

Nie chciałem się zgodzić. Wolf doskonale pracował proszę pana. Doskonale. Był pomyslowy, bystry, inteligentny, miał inicjatywę i zmysł krytyczny, wytrwałość, trzeźwość sądu i łatwość orientacji, wszystkie zalety, które w lesie nie są niezbędne, a natomiast rzadkie i cenne są tutaj. Nie chciałem dopuścić do tego, żeby to wszystko zmarnowało się, żeby przepadło.

No i widzi pan, może byłby biedny Wolf żył do dziś dnia, gdyby postawił na swoim. Ale na szczęście, nie ma tu podstaw, żeby mnie imputować winę. To są już sprawy wykraczające poza naszą wolę. Może byłby żył, a może nie. Uważam, że pod tym względem jestem w porządku. Pod tym względem tak.

Proszę zrozumieć mój punkt widzenia: czy to nie jest szaleństwo chcieć precyzyjną piłką chirurgiczną ścinać drzewa. Prawda?

Wolf był za bardzo wartościowy na las — jako jego szef musiałem bronić tego stanowiska. Za mało ostrożny... tak, mówiłem już o tym; za prosty w podejściu do ludzi. To była jego wada. Wie pan, — dziwna i niebezpieczna cecha, ta jego prostota. Bo to nie był brak sprytu. Nie; to płynęło z odwagi. Może pan zauważył u ludzi silnych

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIŚ I JUTRO”

Szanowny Panie Redaktorze! Niech mi będzie wolno skorzystać z uprzejmej gościnności na łamach poczytnego pańskiego tygodnika, by zaprotestować przeciw niektórym sugestiom podanym przez p. Mariana Badera, w jego artykule pt. „Odrodź się od obłędu” w nrze 11-tym „Dziś i Jutro”.

Nie, żebym nie podzielał obawy Szanownego Autora co do możliwego stopienia naszego sumienia i wrażliwości na śmierć i okrucieństwa, na zbrodnie, stopienie które może nastąpić na skutek rozszerzenia literatury obozowej, działającej w tym właśnie kierunku. Zastrzeżenie konieczne. Istnienie samo człowieka wymagało, jak sądzę, dużego zniechęcenia psychiki na cierpienia bliźniego tak długo, póki człowiek pozostawał w obozie. Ci, których dusze nie uzbroiły się w ten pancerz obojętności, przeważnie przeżyły obozu nie mogli. Tym niemniej, apoteoza zniechęcenia w literaturze obozowej, choćby usprawiedliwione jej (zaznaczano to Borowskiemu) wydaje mi się bardzo szkodliwa dla wychowania przyszłych pokoleń. Natomiast literatura obozowa raczej uczulająca, wzmacniająca uczucia miłości bliźniego i poświęcenia chrześcijańskiego — dla nas — solidarności rodzaju ludzkiego — dla innych (tj. dla nie-chrześcijań) byłaby raczej pożądana.

Ten punkt należy jednak do moralistów — nie liczę się do ich grona i odstępuję im czym przed głośno, — prosząc by głos zabrali. Obowiązkiem moim natomiast jest, oblaścić nieco polityczny aspekt zagadnienia.

„Osobiście sądzę — pisze pan Bader — że wstrząsające opisy doznanych niekiedy zniknąć powinny nie tylko z literatury, ale i z polityki”. I dalej... „warto by się było odrodzić od obłędu zbrodni przez definitywne zaprzestanie analizowania jego przyczyn, objawów, skutków”.

Otóż z punktu widzenia politycznego takie stanowisko jest niemożliwe do przyjęcia.

Wszyscy zgadzamy się na to, że celem polityki jest dobro duchowe i fizyczne narodu. Nikt by się nie sprzeciwiał, gdyby polityka tj. politycy zajmowali się sposobami unik-

nięcia wojny, głodu, inflacji, walk wewnętrznych, analfabetyzmu, narkomanii i innych kłesk społecznych. Każdy obywatel ma prawo domagać się od polityków, by przyczyniły tych kłesk badali i tą drogą szukali sposobu zapobieżenia im. Przez okrzyki: Nigdy już więcej głodu nie będzie, bo być nie może! (a taki charakter ma końcowy ustęp art. p. Badera) — głodu się nie zażegna, ale przez sumienną analizę jego przyczyn. Tym bardziej obowiązkiem polityki jest czuwać nad tym, by tak straszliwa klęska jak ta, którą doznaliśmy z rąk niemieckich, już nas więcej nigdy nie spotkała. Obawiam się, że propaganda miłosierdzia w narodzie polskim nie jest wystarczającym środkiem zapobiegawczym. Badanie więc przyczyn ludobójstwa jest koniecznością polityczną.

Jeszcze jedno zastrzeżenie. Przez stałe i usilne badania kłeski obozów, jej przyczyn i skutków, nie uważam bynajmniej, ani — tak powszechnego w naszej przeszłości chepienia się kłeską, jakby była zwycięstwem, ani też to, co już Borzyński wytknął naszym romantycznym dziejopisom — „Potrzebami nam przychylności obcych narodów i sojuszników dadzą miast wrógów. Czy to truizm? Być może. Ale wiele jeszcze truizmów u nas brzmi jak herezja, a herezja — jak truizm.

Aleksander Bocheński
poseł na Sejm

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Stali czytelnik, ośmielam się prosić Szanowną i Miłą Redakcję o przedrukowanie artykułu p. Stefana Hrabca p. t. „Oby-icie na piśmownię” („Kuznica”, 9/48). Bardzo proszę. Bardzo prosimy — proszą rzęsz — bo to b. ważne. Nie chcemy nowej reformy piśmowni. Artykuł p. Hrabca jest doskonałą, poważną i spokojną repliką.

A dla p. St. R. Dobrowskiego i współwyznawców chciałbym jeszcze dodać słów kilkoro. O ile zostaną zakwalifikowane do druku.

1) O ile p. Dobrowski koniecznie chce ucieszyć dzieci w wieku szkolnym, to niech zaprojektuje zamknię-

cie szkół. Bo co to tam skasowanie rz i ch i ó — to szczeniaki! I tak trzeba siedzieć kilka godzin na twardej ławie w nudnej szkole Skasujcie całą przymusową naukę szkolną, a będzie frajda prawdziwa...

2) Pragnę pocieszyć p. St. R. D., że „wyjątkowo utalentowany” robotnik co awansuje na dyrektora fabryki, nie potrzebuje się zdradzić z nieznaną ortografią. Napisze za niego sekretarz (rka). On tylko podpisze. A od prawidłowej piśmowni nazwiska, to już chyba i p. D. nie byłby skłonny zwolnić swego bohatera...

Do r. 1944 znalazło się dużo ludzi na kierowniczych stanowiskach z takimi właśnie kwalifikacjami w piśmowni. Jednego z administracji ogólnej poznałem osobiście. Prosty, porządny człowiek. Otrzymywał korespondencję urzędową, całkiem poprawną, z jego podpisem niewprawną kreślonym ręką. Wszystko w porządku. Dopiero gdy napisał list prywatny i własnoręcznie ujawnił niemal tyle błędów, ile napisał słów. Ja go szanowałem nie przestalem.

3) Sądzę, że dyrektor p. Dobrowskiego na pewno podobnego listu nie napisał, albowiem „wyjątkowe talenty” ostrzegają go nawet od takiej „nieostrożności”. Mój znajomy nie miał pretensji do wielkich talentów.

4) Są narody o wielkiej kulturze, co mają piśmownię o wiele trudniejszą niż nasza, a jednak nie zmieniają jej. Dlaczego. Bo szanują siebie i swój język. Ciągłe „gruntowne” zmiany piśmowni, to jakrawy przejaw braku szacunku dla tych dwu wartości.

A potem chcecie — aby nas szanowano. Jako naród z przeszłością i przyszłością.

Nie! Nie chcemy żadnych „radikalnych” zmian w piśmowni polskiej.

Wz. Witold Tadajewo

REDAKCJA TYG. „DZIŚ I JUTRO”

Z zainteresowaniem czytamy prawie wszystkie periodyki polskie tak o kierunku materialistycznym, jak i metafizycznym. Jedne i drugie za-

pełniane są licznymi artykułami znanych i nieznanymi autorów. Z artykułów rzadko sypie się złote pożywne ziarno pszeniczne, częściej natomiast wiatr drukarski rozsiewa po Polsce ginące bez śladu plewy Szary czytelnik z zaskakującą cierpliwością przetrzuca tygodniki, miesięczniki, czyta, gubi się w powodzi słów, częstokroć niezrozumiałych nowotworów, zagmatwanych zdań, wreszcie wzrusza ramionami i wzdycha za dobrą, coś istotnie pożytecznego dającą lekturą.

Dobrze, że ostatnio dzał przegląd prasy w poszczególnych pismach uległ korzystnej zmianie i lepszemu omawianiu. Pozwala to czytelnikowi na studiowanie spraw istotnie go interesujących i lepszą orientację w ważniejszych zagadnieniach życia kulturalnego. Niepotrzebnie tylko sprawozdawcy w swych uwagach uciekają się i tutaj do subiektywnych przyczepek małoważnych i czytelnika nie obchodzących.

Od pewnego czasu takie przeglądy prasy szerzej traktowane i z talentem pisane zamieszcza „Dziś i Jutro”. Dają one czytelnikowi istotnie interesujące spostrzeżenia.

Zawsze stałem po lewej stronie barykady społecznej. Zawsze jednak szanowałem cudze zdanie, jeżeli wypływało ono z mocnego przekonania o słuszności, a nie z kierunku wiatrów politycznych.

Dlatego nie mogę uznać, aby sposób polemiki z przeglądem prasy w „Dziś i Jutro” użyty ostatnio w „Kuznicy” przez „ph” był obiektywny. Podkreślanie na przykład, że autor przeglądu prasy w „Dziś i Jutro” pisze anonimowo jest co najmniej dziwne, bo „ph” chyba także jest rodzajem anonimów. A może autor notatki w „Kuznicy” myśli, że czytelnicy znają, kto się ukrywa pod tymi literami „ph”, tak przypominającymi początkowe litery łacińskiej nazwy dodatku odróżniającego wybitnie pięć męską od żeńskiej? Odrzućmy jednak ten piaski żart na stronę. Takie polemiczne zwroty, jak „naïwne atakowanie”, „pseudo przegląd”, „sam zadaje pytania i sam na nie odpowiada” — świadczą nie tyle o rzeczowości krytyki, w takich artykułkach wydaje się mi zgoda niepotrzebnej, — ile o chęci obniżenia wartości pióra autora innego artykułu. Jest to metoda „pseudo poważna” ośmieszająca „ph”.

Po co piszę te uwagi do Redakcji „Dziś i Jutro”?

Autora przeglądu prasy, który wywołał atak, jak również i tajemniczego „ph” nie znam i osoby te mnie nie interesują. Chodzi mi o to, jako szczeremu czytelnikowi, aby redakcje pism poznały również zdania czytających, którzy za swą prenumeratę wzgl. pieniądze, wydawane na zakup pism otrzymywali coś istotnie ciekawego, pożytecznego, a

nie ustawiczne osobiste polemiki, poniżanie innych, wywyższanie siebie lub kadzenie w kapliczkach wzajemnej adoracji.

Leon Zakrzewski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”
W „Przekroju” niejaki obywatel Kiera podał, a ktoś z redakcji upiększył dodatkami wyjątek z artykułu, jaki przed niedawnym czasem ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” o księdzu Stolarczyku, legendarnej już postaci Zakopanego i Tatr. Obywatelowi Kiera wydało się dziwnym, ba, nawet śmiesznym, że autor artykułu użył wyrażenia, iż z postaci ks. Stolarczyka bije niecodziennosc.

Widocznie tak obywatel Kiera, jak i mądry członek redakcji „Przekroju”, jako komentator nadesłanego wyjątku, prawdopodobnie nie wiedzą, kim był ks. Stolarczyk i jakie zasługi położył dla Zakopanego, w owe czasy, kiedy górale tatrzańscy byli na wpół dzikimi ludźmi, którzy zajmowali się przeważnie rozbójem i myśliwstwem, a których ks. Stolarczyk był prawdziwym wychowawcą i cywilizatorem. Z legendarnej jego postaci może „bić niecodziennosc”, wielkość, natomiast z obu powyżej wspomnianych przygłupków bije wyłącznie prostactwo i nieuctwo. skoro nie wiedzą, że z postaci ludzkich, wyrastających ponad szary tłum może właśnie bić, promieniować niecodziennosc. W języku polskim słowo „bić” można doskonale używać nie tylko w znaczeniu dosłownym, lecz i w przenośnym, o czym obywatel Kiera może nie wiedzieć, ale o czym ten, kto pisze w „Przekroju” powinien wiedzieć.

Kazimierz Jankowski

Nadesłano

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”

Julian Tuwim: SŁOŃ TRABA-SKI, ilustrował Ignacy Wiąz, str. 25.
Eliza Orzeszkowa: NAD NIEM-NEM, wstępem zaopatrzył Julian Krzyżanowski, III t.

Kazimierz Zenon Skierski: GŁODNE ŻYWIOŁY, str. 242.
Adolf Dygasiński: ZAJĄC, powieść, wstęp i objaśnienia Franciszka Bielaka, str. 218

Adam Próchnicki: KOBIECI W POLSKIM RUCHU SOCJALISTYCZNYM, str. 77.

Benvenuto Celliniego: ŻYWOT PISANY PRZEZ NIEGO SAMEGO, przełożył Leopold Staff, str. 352.

John Hersey: HIROSZIMA, tłum. Józef Wittlin, str. 115.

Adolf Dygasiński: GODY ŻYCIA, opowieść, wyd. piątą, wstęp i objaśnienia Franciszka Bielaka.

Marian Podkowinski: IV RZESZA ROSNIE, str. 191.

Jadwiga Gorzycka: STANISŁAW KUNICKI, opracowanie wspomnień Ryszarda Kunickiego, str. 52.

Wiktor Hugo: ROK 1793, powieść, przekład Juliana Maliniaka, str. 434.

Pamięci B. Micińskiego

(dokończenie ze str. 14)

dobrnęli do Paryża późną jesienią 39-go, Halina w ostatnich tygodniach ciąży, Bolek z odnowioną gruźlicą. Lecz potem miało się już lepiej ułożyć. Nastąpiły miesiące kojącej ciszy w Montaignut (Allier), mieszkali wówczas we czworo, z nowonarodzoną Anną-Ludwiką i z siostrą Bolesława, Anielą Micińską, w której potem miała się — według słów brata — odezwać świetna poetka. Bolek zabrał się do pisania: powstał pierwszy szkic o Kancie, artykuł „O nieważności” i „List do małego Francesca”, oba drukowane w Wiadomościach Polskich.

Lecz przyszła „débacle”, klęska. Exodus ich także wygnął na tuzące drogi wrogiej wówczas i niegościny Francji. Parę tygodni poniewierki, nerwowego niepokoju, cudem unikniętego niebezpieczeństwa pozostania pod Niemcami, powodowały ponowne pogorszenie się zdrowia, nóżniej paromiesięczny pobyt w sanatorium.

Byliśmy z Micińskim razem do października 1940-go. Po tej dacie przenieśli się oni do Grenoble. Pro-

blem wyjazdu czy pozostania we Francji rozważany był ciągle w ich rodzinie i przechylał się to na tę, to na drugą stronę, nigdy jednak oba konieczne czynniki: wizy i zdrowie Bolka nie zbiegły się w czasie. Tak oto, mając rzekome prawo wyboru, uwikłani byli w sytuację, którą w szkicu o Odyseji sam on tak określa: „Indywidualne zdarzenia tragiczne odsłaniają tylko trwałe, z samą istotą świata dane czynniki: związki i siły, które, leżąc ponad wolnością człowieka, prowadzą go z nieuchronną koniecznością do nieuniknionej i niezawinionej katastrofy, do unicestwienia wartości planów, zamysłów i pragnień”.

W marcu 42-go roku byli zdecydowani „zmienić mieszkanie” i „dośćali zaproszenie do Micia (Londyn) lecz „chyba nie przed zimą” będą mogli to zrobić. Oto wyjątki z listu: „Żyjemy pod (a właściwie nad) Grenoble. Widok jest przepiękny — życie trudne. Najgorszy jest klimat moralny. Jest w tym — z jednej strony — niepokój kolejowego dworca i — z drugiej — zupełny brak

ruchu. Nawet koty i psy są zaspiane i nieufne. Nie skarzę się, bo każda emigracja jest smutna. Żyjemy na walizkach, tak że nie korzystamy nawet z tych skromnych dóbr, które zamknęliśmy w kuferkach. Obrzydliwe prowizorium, plus zażenowanie nie gości nieproszonych, dla których nie przygotowano domowej kolacji. Najsmutniejszy dla nas jest może pejzaż — jakby „na wyrost”, jakby ojcowście ubranie na piegowatym smarkaczu. Alpy wydają się zaduże. dolna Izery za piękna... Dostaliśmy niedawno zaproszenie „do Micia”. Warto zmienić mieszkanie, bo tu trudno żyć. Jesteśmy zdecydowani na przeprowadzkę, ale to chyba nie przed zimą. Ostatnio czuję się trochę gorzej i lekarzowi nie podobają się jakieś plamy nowe pod obojczykiem. Radził mi jeść dużo mięsa (!) a potem westchnął i zapalił papierosa z kukurydzy, machając ręką: „może by pan spróbował więcej spać”. Po napisaniu niewielkiego (ale zdaje się, że dobre!) szkicu o Kancie, nic nie pisałem. Zima była ciężka. Teraz zacząłem rozwijać — pisaną dla Was — książeczkę z Montaignut. „Jesteśmy z wszystkimi w przyjaźni, ale zupełnie nie mamy przyjaźni! I to jest najsmutniejsze”

Wreszcie w sierpniu 1942-go nie

tylko były gotowe, ale i zalatwiony przelot do Anglii. Wówczas właśnie lekarze stanowczo sprzeciwili się wyjazdowi. Halina Micińska odczuła to jako „pech najwrażliwszy”, Bolek znalazł tyle hartu, żeby zacząć list od wyrazów radości z narodzenia naszego drugiego synka — o którym właśnie się dowiedział — i zachwyty nad swoją córką. O przekreślonych zamiarach, o tragicznej konieczności pozostania, nie wspomina nawet, bo najsmutniejsze jest to, że „czas ucieka i nie ma sił do pracy”.

O tym, nad czym pracował, tak jeszcze pisze gdzieś indziej: „Myślę (i potroszę nawet o tym już piszę) o tak zwanym „zagadnieniu młodzieży”. Jeżeli młodość jest „rzeźbiarską życia” to rzeźbi źle. Jeżeli jest skorupką, które nasiąka za młodu, to nasiąka trucizną. Wierzę głęboko w zwycięstwo nasze, ale ze smutkiem myślę o tym, że konający wróg zatrzuje nas swoim jadem — jadem rozkładającego się ciała. To będzie zemsta z za grobu. I dlatego jestem na pewien czas pesymista: zwyciężymy, ale to, co w nas dobre będzie wyczerpane, anemiczne, niezdolne do akcji, — silni, przetrwając ci, którzy podejmą złamane, zwyciężone hasła. Nie można bez-

karnie prowadzić wojny. Widzimy tragiczne skutki wojny 1914—1918. Wojna niszczy moralnie obie strony i takie może być zwycięstwo — sprawiedliwe nawet — pokonanych. Przygotowałem niedawno duży szkic książki „O dawnych i przyszłych grzechach”. Wejdzie w tę książkę to, co pisałem w Montaignut i o czym rozmawialiśmy razem. Podyktowałem Halusi całość a potem rozwinąłem szereg rozdziałów... Podobno wszyscy gruźlicy przywiązują zbyt wielką wagę do swoich myśli i twórców — a ja przedstawiłem moje szkice ludziom zdrowym i spotkałem się z bardzo gorącym przyjęciem. Jednym słowem: podobało się”.

Niesposób, cytując fragmenty z listów Bolesława Micińskiego, pominać miejsce jakie w nich zajmują uczuciowo sprawy przyjaźni. „Zatrute drzewo życia wydaje — podobno — jeden zdrowy owoc: przyjaźń... Przyjaźń była zawsze zasadą i celem mojego postępowania”. „Powiedzieli się to, w co zawsze wierzyłem: że mocniejsza od wojny jest przyjaźń, przywiązanie i wdzięczność i teraz, kiedy dosłownie zachwiała się historia, jestem szczęśliwy, że mogę odnaleźć siłę we wspomnieniach”.

Felicja Lilpop-Krancowa

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzywa

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych Kwartalna 180 złotych

B-43180